MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XII. Nr. 50. (49 skonfiskowany) WARSZAWA, 13 LISTOPADA 1932 R. CENA NUMERU 80 GR.

NA MARTWYM PUNKCIE

WYBORY 6 listopada miały być według słów kanclerza von Papena „Szturmem na pozycje nieprzyjacielskie“, „próbą przerwania frontu opozycji“. Ton, jakim mowa ta została wygłoszona przez radjo w dniu 4 b. m., nie świadczył ani o zapale do walki, ani o wierze w zwycięstwo. Raczej brzmiała tam nuta ugodowa: reforma konstytucji, tak, lecz nie inaczej, jak po uprzedniem uzgodnieniu z krajami związkowemi i z parlamentem. Cofnięcie swego poparcia hitlerowcom, lecz jednocześnie niedwuznaczna oferta współpracy.

Rezultaty tej walki okazały się nie mniej połowiczne, niż nastrój przedwyborczy. Prawda, Hitler zatrzymał się w swym bezprzykładnym rozpędzie. Z ośmiuset tysięcy głosów w roku 28 skoczył on do sześciu i pół miljonów w roku 30 i trzynastu miljonów siedmiuset tysięcy w dniu 31 lipca b. r., a więc do 37% wszystkich oddanych głosów. W dniu 6 listopada liczba ta spadła — po raz pierwszy od lat czterech — o całe dwa miljony głosów. Niełaska kanclerza podziałała: skrzydła narodowego socjalizmu opadły po raz pierwszy, zasilając konkuerentów z lewicy skrajnej i skrajnej prawicy. Przeszło miljon odziedziczył Hugenberg. Są to dobrze znane mu kadry z roku 24, kiedy to Niemiecko-Narodowi liczyli przeszło sześć miljonów głosów, tracąc przedewszystkiem na rzecz Hitlera prawie dwie trzecie głosów pomiędzy wyborami 4 grudnia 24 roku i 31 lipca roku bieżącego.

Lecz i z tym miljonem głosów odzyskanych powraca stronnictwo rządowe zaledwie do tego poziomu, jaki miało w roku 1919 i sięga zaledwie połowy swej liczebności z roku 24.

Prawda, drugie skrzydło opozycji: socjalni demokraci ponieśli również straty, tembardziej dotkliwe, że trwają one nieprzerwanie od roku 28. Po krótkiej świetności z czasów Wejmarskich z przeszło jedenastu miljonami głosów, przepołowiona w roku 24, na krótko odzyskuje Socjalna Demokracja dziewięć miljonów sto tysięcy głosów w roku 28 i od tej chwili spada już nieustannie: do 8.500.000 głosów w roku 30, 7.900.000 w lipcu b. r. i wreszcie 7.200.000 w dniu 6 listopada.

Nieco pokiereszowane wychodzi z tej walki i uporczywe Centrum. Straciło około 300 tysięcy głosów, a więc zawsze jeszcze pozostaje na wysokim poziomie. Raz tylko w czasach powojennych, i to w roku 1919, potrafiło zebrać Centrum około sześciu miljonów głosów, zdobywając z kolei w toku dalszych wyborów od trzech miljonów siedmiuset tysięcy w roku 28, do czterech i pół miljonów w lipcu roku bieżącego.

Razem tedy straty opozycji—trzy miljony głosów. Cóż, kiedy z tej liczby tylko część zdobyta została przez stronnictwa rządowe, lwią część, całe siedemset tysięcy zdobył najniebezpieczniejszy przeciwnik rządu von Papena, partja komunistyczna. Jeszcze w roku 1922 zdobyła ona zaledwie pół miljona głosów, lecz już w 1924 przekroczyła trzy i pół miljona, w 1930 przekroczyła trzy i pół, w lipcu b. r. sięgnęła do 5.200.000, a dziś zbliżyła się do sześciu miljonów. Co gorsza, w samym Berlinie na 2.772.000 głosów zebrali komuniści największą ilość, w porównaniu z innemi stronnictwami, bo 860 000 głosów.

Tak wygląda wynik walki o przełamanie frontu. Po stronie rządu siedemdziesiąt do osiemdziesięciu głosów, przeciwko niemu conajmniej pięćset głosów opozycji, podrażnionej świeżo odbytą walką.

Cóż dalej? Rozwiązać parlament i rządzić bez niego, czy też rządzić pomimo niego, opierając się na powadze prezydenta? Prawda, poza von Papenem stoi zwarta i zdecydowana gromada ludzi, nawykłych do rozkazywania, zdecydowanych na wszystko, nie wiele sobie robiących z demokratycznych zasad i konstytucyjnych skrupułów.

Nie po to przecież wyszli z ukrycia, w którem pozostawali od roku 1918, aby teraz, kiedy przekonali się o słabości swych przeciwników, cofać

się w obliczu bliskiego już zwycięstwa. Wszystkie środki rządzenia są w ich ręku: prezydent, wojsko, policja, skarb, wyższe urzędy.

Przecież i hitlerowcy ze swemi miljonami głosów i setkami tysięcy szturmowych oddziałów okazali się nie tak straszni, jak to się wydawało. Wystarczyło krótkiej rozmowy ze starym marszałkiem, w dniu 13 sierpnia, a Hitler zatrzymał się w swym ataku na rząd von Papena. W dniu tym przerwała się historja bohaterska Hitlera - zdobywcy, ustępując miejsca zwykłej prozie politycznej Stronnictwa Narodowo - Socjalistycznego, szaremu życiu bezrobotnych tłumów, hałaśliwych wieców i bardzo spokojnych targów politycznych.

Może Hitler zda sobie sprawę z tej sytuacji i ot, tak poprostu, zgodzi się na koalicję z centrum i stronnictwami rządowemi? Lecz Hitler wie dobrze, iż taki sojusz przepołowiłby jego lewe skrzydło i dałby lewicy nowe wzmożenie sił jego kosztem. Karjera Hitlera, jako wielkiego reformatora społecznego, byłaby skończona, pozostałby Hitler— odmłodzone wydanie Hugenberga, zależny i związany z prawicą, no i nie bardzo potrzebny w grze politycznej.

Więc na porozumienie z hitlerowcami liczyć bardzo trudno. Ażeby się porozumieć z centrum i socjalistami, trzebaby zawrócić na drogę demokracji i Konstytucji, trzebaby się wyrzec swych wielkich planów i powrócić do skromnej roli zakulisowej z roku 1919.

Trzeba się decydować na wielkie posunięcia polityczne i ustrojowe. Jakże to zrobić zaraz po ujawnieniu tak niesłychanego rozrostu komunizmu, po okazaniu całemu krajowi, że się ma przeciwko sobie dziewięć dziesiątych całej opinji.

Nie mniejsze kłopoty ma przed soba opozycja. Zgodna i potężna, jeżeli chodzi o zwalczanie von Papena, jest ona zupełnie bezsilna, o ile chodzi o działanie pozytywne. Wytworzyć większości z tych pięciuset głosów, — większości niespełna trzystu głosów, nie sposób?

Więc, zamiast „przełamania frontu“, zmarnowanie tych nawet możliwości politycznych, które były jeszcze w lipcu bieżącego roku, zamiast decydującego zwycięstwa rządu, niemoc stronnictw, niemoc i utknięcie machiny państwowej na martwym punkcie.

A czas nie czeka. Kryzys ogólny robi swoje. W powszechnym bezwładzie czynników „ustroju burżuazyjnego“ zbiera swoje nieuchronne żniwo komunizm.

Już Stresemann ostrzegał swoje społeczeństwo, że chaos, jaki panuje w umysłach inteligencji niemieckiej, jest dla Niemiec klęską stokroć większą, niż wszystkie straty, spowodowane przegraną wojną. To szarpanie się sprzecznych prądów, interesów, opinij, stronnictw politycznych jest niczem innem, jak przejawem tej choroby, na jaką cierpi elia niemiecka. Na martwym punkcie utknęła nie tylko polityka poszczególnych stronnictw i rządu, na martwym punkcie utknęła myśl zbiorowa niemiecka, skazując naród i państwo niemieckie na bezwład wewnętrznych sprzeczności.

To nie jest krótki epizod, to choroba przewlekła i wyczerpująca.

STANISŁAW ZIELIŃSKI

SPINOZA

1632 — 1932

NIELICZNI przedstawiciele myśli filozoficznej mają w udziale, że ich doktryny, poza określonem miejscem w historji filozofji, zyskują siłę bezpośredniego oddziaływania na szerokie koła zwolenników i sektatorów. Ten rzadki przywilej posiadł niewątpliwie Spinoza. W ostatnich bowiem latach w różnych ośrodkach europejskich i pozaeuropejskich głoszono odrodzenie spinozyzmu, w r. 1921 zawiązane zostało w Hadze *Societas Spinozanum* i założono wydawnictwo *Chronicum Spinozanum*, przed pięciu zaś laty obchodzono uroczyście 250-lecie jego śmierci. Widocznie więc, mimo toczących się od XVII w. polemik, poprzez encyklopedystów francuskich aż do naszych czasów, w doktrynie Spinozy tkwi coś żywotnego, co faktycznie odpowiada intelektualnym potrzebom jego zwolenników.

Pomijamy tu w tym krótkim artykule zagadnienie, często dyskutowane, czy system Spinozy jest konsekwentny, pomijamy całkowicie opinje jego przeciwników i apologetów, pomijamy wreszcie zreferowanie jego systemu filozoficznego.[1]) Zwrócimy natomiast uwagę na mniej stosunkowo znaną część jego doktryny — poglądy filozoficzno-społeczne, na które składa się jego pogląd na religję, pochodzenie władzy, formy rządu i in. W nich zapewne, raczej niż w jego epistemologji, tkwić może źródło zainteresowań współczesnych.

Swą doktrynę filozoficzno-społeczną wypowiedział Spinoza w dwóch pracach: „*Tractatus theologico-politicus*“ i „*Tractatus politicus*“. Oba traktaty pochodzą już z okresu dojrzałej działalności literackiej Spinozy: pierwszy z nich, wcześniejszy, zawiera rozważania na temat teologji i teokratyzmu judaizmu, drugi, pisany niedługo przed śmiercią, związany jest zapewne z planami reformatorskimi Spinozy i zawiera rozważania bardziej ogólne. Traktaty te, szczególnie pierwszy, znane były ze względu na zawarte w nich hasła liberalne w dziedzinie poglądów na religję i teologję. „*Tractatus theologico-politicus*“ uważany był również za apologję wolności myśli, wyraz demokratycznych i liberalnych tendencyj, dzięki wykładowi pozytywnej religji i odgraniczeniu filozofji od teologji.[2]) Ten też traktat przyjmiemy za podstawę niniejszego artykułu.[3])

Jeżeli się bierze pod uwagę zakres wpływu dzieła Spinozy *apud latinos*, to wpływ ten ujawniał się właśnie w wymienionych punktach. Opierano się tu zazwyczaj na wyrwanych zdaniach, które

[1]) p. Wł. Tatarkiewicz: „Historja Filozofji“ (1930) t. II., 72—77, oraz „Przegl. Filozof.“ 1928 (W. Szyłkowski i I Myślicki, Polemika o filozofję Spinozy).

[2]) por. Ueberweg, „*Grundriss d. Gesch. d Phil.* t. III. (1907) 123—125.

[3]) Benedicti de Spinoza. „*Opera*“. *ed. J. v. Vloten et J. P. N. Land. Hagae.* 1882. t. I.

jako hasła i sentencje wielokrotnie powtarzano. Takich sentencyj można wymienić szereg: *ratio obtinet regnum veritatis et sapientiae, theologia autem pietatis et oboedientiae*; *nec Scriptura rationi, nec ratio Scripturae accommodanda est*; *Evangelica doctrina nihil praeter simplicem fidem continet*, etc.[4]) Takich „złotych zdań“ zawierają dużo traktaty Spinozy. Pozostają one jednak w gruncie niezrozumiane, jeżeli się je weźmie w oderwaniu od kontekstu, bez zdania sobie sprawy z punktu wyjścia, treści, konstrukcji i cech dzieła, z którego one pochodzą i z całości poglądów filozoficzno-społecznych autora.

„*Tractatus theologico-politicus*“ ma rzeczywiście za cel analizę i wykład zasad ustroju demokratycznego. Ustrój ten jednak jest specjalnego typu. Chociaż bowiem władza leży w narodzie, to jednak złożona zostaje w ręce jednostek, posiadających od tej chwili władzę nieograniczoną, które jako wyłączni interpretatorzy praw boskich sprawują władzę, różniącą się od monarszej tem tylko, że owi noszą tytuł reprezentantów narodu i administratorów państwa. Nie wyabstrahowany bynajmniej jest ten pogląd na tę, nie uwzględnioną przez Arystotelesa, możliwą formę rządu. Spinoza opiera się w tym wypadku na analizie historji politycznej Izraela i ustanowionego przez Mojżesza ustroju teokratycznego. Stąd w dziele tem znajdujemy, obok określenia pojęcia prawa, prawa natury, władzy, demokracji, — analizę zagadnienia genezy religji, znaczenia profetyzmu izraelskiego, Pisma św., ceremonij religijnych i t. d.

Nie jest naszem zadaniem streszczanie wszystkich poglądów, zawartych w interesującym traktacie Spinozy, lecz o podkreślenie tych, które dotyczą sprawy pochodzenia władzy, religji jako środka jej utrzymania, wreszcie genezy i istoty teokracji żydowskiej, oraz stosunku jej formy rządu do założeń demokratyzmu i doktryny liberalizmu.

Pierwszem zagadnieniem, nasuwającem się studjującemu poglądy polityczne Spinozy, jest dziwne napozór związanie zagadnień politycznych z religją i teologją. Nasuwa się pytanie, jaki istnieje związek między kultem religijnym a rządzeniem państwem? Odpowiedź na to pytanie znajdujemy we wstępie omawianego traktatu: *nihil efficacius multitudinem regit, quam superstitio.* Przesąd zatem, źródło swe mający we wspólnej wszystkim ludziom skłonności — strachu, jest, według Spinozy, źródłem religji. Ponieważ zaś wszyscy ludzie podlegają przesądowi, religja jest najskuteczniejszym środkiem rządzenia masą.[5]) W świetle tych wyjaśnień dokładniej się rozumie wyżej zacytowane sformułowanie stosunku filozofji do teologji, gdyż tej ostatniej Spinoza wyznacza jako zadanie naukę posłuszeństwa,[6]) z pomocą wszystkich środków religijnych: proroctw, wykładu Pisma św., ceremonij i t. d. Istotą religji nie jest żadne dobro bezwzględne, gdyż jej głównym celem jest co innego: *homines deceptos habere, et metum, quo retineri debent, specioso Religionis nomine adumbrare, ut pro servitio tamquam pro salute pugnent.*[7])

[4]) *Tract. theol.-pol. ed. cit.* 547, 548, 537.

[5]) *I. c.* 370. „*Causa itaque, a qua superstitio eritur, conservatur et fevetur metus est... Ex hac itaque superstitionis causa clare seqitur, omnes homines natura superstitioni esse obnoxios.*“

[6]) *ib.* 537, 547.

[7]) *ib.* 371.

W tym samym wstępie Spinoza zapowiada, że ci, którzy powołani są do sprawowania władzy, są w tej władzy nieograniczeni *(ius ad omnia)*, że są jedynymi rzecznikami prawa i wolności, zaś wszyscy pozostali powołani są tylko do wykonywania ich wyroków.[8]) Pozostaje więc pytanie, skąd pochodzi owa władza nieograniczona tych władców. Odpowiedź tkwi w wykładzie Spinozy historji prawodawstwa Mojżesza, zawierającym wyjaśnienie tajemniczego procesu od demokracji do teokracji.

Z wywodów Spinozy można wnosić, że uznaje on demokrację za stan naturalny, który określa jako *coetus universalis hominum, qui collegialiter summum ius ad omnia, quae potest, habet.*[9]) W jaki więc sposób naród zrzeka się przez naturę danego przywileju stanowienia o swym losie? Otóż, według Spinozy, hebrajczycy oświadczając gotowość wypełnienia każdego boskiego wyroku i uznając w Mojżeszu jedynego interpretatora praw i wyroków boskich, uznawali tem samem w nim najwyższego sędziego i władcę.[10]) Ustanowiony przez Mojżesza ustrój społeczno-państwowy, przekazany następcom nie był już w gruncie demokratycznym, ani arystokratycznym, ani też monarchicznym, lecz teokratycznym. Bliższych jednak informacyj, poza ogólnemi uwagami, o charakterze tego rządu, który następuje po Mojżeszu, Spinoza nie daje.[11])

Niemniej narzuca się tu pytanie, jakie ciała i na jakich zasadach emanują tych administratorów dominjum boskiego. Otóż w tej sprawie dowiadujemy się, że już Mojżesz udzielił władzy siedemdziesięciu starcom koadjutorem, składającym się na *supremum concilium.* To koncyljum nazywa M. Mendelsohn w swym komentarzu do Pentateuchu Synhedrjonem, Spinoza zaś w dalszym ciągu swego traktatu wyjaśnia, że w Starym Testamencie starzec znaczy tyle co sędzia, rządy zatem Sędziów traktować można jako rządy Synhedrjonu, ustanowionego przez Mojżesza i stanowiącego zapewne istotę owego teokratyzmu.[12])

Wracając jednak do filozofji społecznej i abstrahując od takiej czy innej nazwy ustroju i od egzemplifikacyj historycznych, postawić należy pytanie, w czem tkwi istota takiego państwa demokratycznego, w którem reprezentanci narodu posiadają władzę nieograniczoną w zakresie wszystkich dziedzin życia społecznego: sprawowania władzy, prawodawstwa religijnego i cywilnego, sądownictwa i kultu. Otóż zasada demokratyczna w tej koncepcji państwa zachowana jest w następujących punktach: że geneza władzy jest w narodzie, że on dobrowolnie oddaje ją w ręce interpretatorów wyroków boskich, że istnieje wspólny cel dla sprawujących władzę i jej podległych. Zdawałoby się, że skoro te zasady są zachowane, to cały ten ustrój odpowiada ideałom państwa demokratycznego. Tymczasem jednak, przy uważniejszej analizie tych punktów, natrafia się na trudności, szczególnie w sprawie pojmowania owego przekazania władzy.

[8]) *o. c.* 275: „*atque hinc ostendo, eos, qui summum imperium tenent, ius ad omnia, quae possunt, habere, solesque vindices iuris et libertatis esse, reliquos autem ex solo eorum decreto omnia agere debere*“.

[9]) *ib.* 556.

[10]) *ib.* 569, 570: „*Moses ergo solus legum divinarum lator et interpres mansit, et consequenter etiam supremus Judex, quem nemo iudicare poterat, et qui solus apud Hebraeos vicem Dei, hoc est supremam maiestatem, habuit.*

[11]) *ib.* 571 — 572.

[12]) *ib.* 574 — por. komentarz Mendelsohna do „*Numeri*“ XI.16 *(wyd. „Pentateuchu*“, St.-Petersburg, 1852).

Na podstawie wyżej zreferowanych poglądów Spinozy, suponować należy, że przyczyną tego aktu społecznego był strach, że akt ten jest jednorazowy i nieodwołalny, że dzięki niemu naród zrzekł się raz na zawsze praw stanowienia o sobie i związanej z tem odpowiedzialności, bez żądania odpowiedzialności od swych reprezentantów. Jeżelibyśmy sądzili, że ta odpowiedzialność zagwarantowana jest w podporządkowaniu czynników rządzących jakimś objektywnym i powszechnie obowiązującym prawom boskim, to i w tem uleglibyśmy złudzeniu, gdyż owi władcy są miarą wszystkich praw.

Czy więc poglądy filozoficzno-społeczne Spinozy nazwać można obroną wolności? Wydaje się, że w „*Tractatus theologico-politicus*“ zawiera się raczej zaprzeczenie swobód politycznych i założeń demokratyzmu, niż obrona tych stanowisk: rola narodu w sprawach publicznych sprowadza się do posłuszeństwa, wyłączającego całkowicie jego czynny i bierny udział w rządzie. Wypowiedziana tam jest natomiast doktryna liberalizmu religijnego, której zasadniczemi punktami są: wyłączenie obowiązujących dogmatów, podkreślenie, że teologja i religja nie mają nic wspólnego z poznaniem i sprowadzenie znaczenia religji do czynnika dyscypliny społecznej lub uczucia.

W tym to ostatnim punkcie ujawnił się wpływ doktryny Spinozy. Jej najbardziej znanym owocem wśród myślicieli chrześcijańskich jest filozofja religji Schleiermachera, wśród myślicieli żydowskich — reforma judaizmu. Plany reformatorskie Spinozy, mające dotyczyć nie tylko wyznawców judaizmu, w gruncie rzeczy dały się zastosować tylko do spraw religijno-społecznych żydów. Spinoza bowiem jest jednem z ogniw szeregu czołowych przedstawicieli filozofji i teologji żydowskiej.

Ma on trzech głównych poprzedników w postaciach Majmonidesa (1135 — 1204), Gersonidesa (1288 — 1344) i Kreskasa (zm. 1410). Poza drobnemi różnicami jest on kontynuatorem ich racjonalistycznego wykładu religji judaizmu, jego prawodawstwa i doktryny społecznej. Korzystał on z dzieł współczesnego mu teologa żydowskiego, R. b. Menasze, autora dzieła „*Conciliater*“. Jego samodzielne stanowisko polega na radykalnem odgraniczeniu filozofji od teologji, czego konsekwencją jest emancypacja tych, którym dostępna jest filozofja, od dogmatów teologji. Jest on nowatorem w dziedzinie swego naturalistycznego pojmowania Boga i w swej koncepcji religji. W tych punktach jest on poprzednikiem M. Mendelsohna, który ostatecznie uwolnił swych współwyznawców od dogmatu w myśl tej samej zasady, że nie doktryna religijna i dogmat stanowią istotę religji judaizmu. Śladami Spinozy i Mendelsohna szedł również Salomon Majmon w swym wykładzie „Przewodnika zbłądzonych“ Majmonidesa[13]).

Jeżeli więc mówi się o odrodzeniu spinozyzmu, to niewątpliwie odrodzenie to nie dotyczy jego panteistycznej nauki o świecie, ani też jego epistemologji, lecz — jego doktryny religijno-społecznej. Uznanie znaczenia filozofji Spinozy, poza obrębem filozofji XVII wieku, jest uznaniem jego znaczenia i zasług dla judaizmu.

ADEODATUS

[13]) p. *The Jewish Encyklopedia*. VIII. 26 — 32; XI. 511 — 520, zwłaszcza 5187.

ZRĘBY POWIEŚCI

POWIEŚĆ w ostatnich stu latach stała się ulubioną przez ogół i pisarzów formą literatury pięknej. Krytyka jednak literacka o tyle temu prądowi kroku nie dotrzymuje, że nie wypracowała sobie w stosunku do powieści obowiązujących wytycznych, a sądy swoje opiera na zasadach cząstkowych i przypadkowych. Nietylko bieżąca krytyka dziennikarska — znana ze swojej dorywczości i płytkości, ale nawet bardziej odpowiedzialna krytyka powag zawodowych poprzestaje na nieuporządkowanych wyczuciach doraźnych, pomijając zazwyczaj te lub owe sprawy dla powieści najważniejsze. Tym sposobem ogół czytelniczy, pozostawiony samemu sobie, coraz mniej wie, czego ma z punktu widzenia sztuki od powieści wymagać. Stanowi to jedną z przyczyn dzisiejszego upadku powieści i bezprzykładnego w tej dziedzinie zalewu tandetą. Zastanówmy się przeto nad warunkami, które każdą powieść — bez względu na jej rodzaj — obowiązują. Krótkie zestawienie zrębów powieści przyda się i czytelnikom i krytykom i... powieściopisarzom.

Niema wątpliwości, że pierwszą uwagę krytyczną powinno się zwracać na język w powieści, jest on bowiem podstawowem jej tworzywem fizycznem. W ocenie języka nasuwają się trzy wymagania główne: czystość, trafność i bogactwo. Język jest tworem i darem narodu, którego mową pisarz się posługuje. Obowiązuje to pisarza do zachowania czystości języka, czyli — do unikania naleciałości obcych tam, gdzie istnieją ścisłe odpowiedniki rodzime. Tego najprostszego warunki dobrej polszczyzny dzisiaj w Polsce, niestety, prawie nikt nie przestrzega. Najlepsi pisarze (nietylko powieściowi) stale używają słowa „producent“ zamiast „wytwórca“, „konsument“ zamiast „spożywca“ lub „nabywca“, „gwarancja“ zamiast „rękojma“, „pertraktacje“ zamiast „układy“ lub „rokowania“ — i tak dalej. Naliczyłem kiedyś około tysiąca takich słów użytku codziennego — obcych i niezgrabnych, któremi pisarze wypierają doskonałe i ścisłe odpowiedniki rodzime. W pewnej książce naukowej na jednej stronicy znalazłem trzydzieści słów obcych, któremi autor zastąpił istniejące w języku polskim słowa rodzime o znaczeniu ściśle tem samem. Nie mówię już o dziennikarstwie, dla którego wzorem języka polskiego jest zdanie następujące:

„Forsownie lansowane oficjalne dementi intensywnie suggeruje inspirację sfer decydujących, że *demarche* ambasadora zlikwidował inkryminowany incydent definitywnie“. (Na szesnaście słów tylko jedno polskie — słówko „że“).

Nikt na to zaśmiecanie i ubożenie języka polskiego uwagi nie zwraca. Niedbali są pod tym względem i wręcz niechlujni zarówno pisarze, jak ich krytycy. Mówią o pracy dla ojczyzny, ale sami najbliższego swojego obowiązku narodowego nie wypełniają. Bezwolnie ulegają w zakresie mowy znanej wadzie polskiej chętnego popisywania się słówkami obcemi. O wiele mniej grzechów przeciw czystości językowej spotyka się w składni i zwrotach, gdzie wrażliwość ucha i ducha jest o wiele

żywsza i głębsza, ale i tu sporo niedbalstwa — zwłaszcza w przekładach.

Obok czystości ważna jest w mowie sprawa trafności słów. Zarysy przedmiotów stają się nikłe, barwy — mdłe i nieharmonijne, mowa — rozwlekła i nudna, gdy pisarz nie pilnuje trafności każdego słowa, albo gdy opis przeładowuje określeniami w mylnem przekonaniu, że uczyni go przez to plastycznym. Słynny jest odruch Musset'a, który na pierwszej stronicy powieści pani George Sand wykreślił kilkanaście zbytecznych przymiotników. Przyczyna nietrafności słów i rozwlekłości mowy tkwi zazwyczaj w słabej woli, w braku samokontroli, w bladej wyobraźni autora, oraz w małej znajomości języka. Trafności dopomaga bogactwo słów, które nie jest jednoznaczne z wielosłownością. Mowa bogata odznacza się wielkiemi możliwościami wyboru, jest małosłowna, ale zato silna i trafna. Konieczny jest do tego ogromny skarbiec słów, schowany w wyobraźni i z nią ściśle złączony, skarbiec uporządkowany i ustopniowany, jak klawiatura fortepianu. Obie cechy — trafność i bogactwo — wywierają wpływ na zwartość, jasność i zwrotność mowy, wkraczają przeto już na pogranicze stylu.

„Styl — to człowiek": — powiedziano to w znaczeniu, że znamiona stylu odpowiadają znamionom duszy autora. Prostota duszy stwarza styl prosty, napuszoność — napuszony, chropawość — chropawy, gładkość — wygładzony. Ile odmian ducha i ich połączeń, tyle odmian i odcieni stylu. Styl pisarza wyraża się w doborze słów, w rytmie zdań, w budowie okresów. Gdy pisarz charakteryzuje postać jaką jej własnemi słowami, stwarza dla niej styl odpowiedni: Papkin przemawia stylem napuszonym, Podbipięta — naiwnym, Zagłoba — rubasznyw. Charakter stylu wadliwy jest wtedy, gdy nie odpowiada właściwościom rzeczy opisywanej. Teatralny potos stylu Wiktora Hugo z reguły przykre, nawet i śmieszne czyni wrażenie. Natomiast patos Wyspiańskiego, zawrze użyty na miejscu, posiada wstrząsającą prostotę zjawisk przyrody. Jakikolwiek charakter cechuje dany styl, podstawową jego wartością jest muzykalność. Dźwięczność słów i zestawień słownych, unikanie przykrych zbiegów zgłoskowych, rytmiczne układy zdań, rytmy odpowiadające nastrojom — oto główne wymagania, którym każdy styl ulegać powinien. Współczesna proza powieściowa nie zaprząta sobie głowy muzykalnaścią stylu i dlatego nie można jej czytać głośno; drapie i szarpie i rzęzi, trzęsie i oddech tamuje. Ale kto ma ucho muzykalne, ten i pocichu czyta ją z męką i odrazą.

Główne możliwości języka i stylu pisarz otrzymuje od narodu. Oba te narzędzia powstają wysiłkiem zbiorowym wieków i pokoleń. Istnieją duże różnice w bogactwie, gietkości i muzykalności różnych języków. Mowa polska należy do niewielu najbogatszych w słowa, dźwięki i formy składni. Jest przytem młoda, liczy sobie dopiero tysiąc lat istnienia, znajduje się obecnie w pełni swojego rozwoju, posiada świeżość ziemi i ludu wiejskiego, ogrom pierwiastków rodzimych, oraz niewyczerpane siły twórcze i przetwórcze. Wszystko to, razem z artystyczną kulturą mowy, odziedziczoną po wielkich twórcach prozy i poezji wiązanej, stawia pisarza polskiego wobec zadań jednocześnie bardzo łatwych i bardzo trudnych. Łatwo jest być bogatym, kiedy się takie skarby w spadku otrzymało, ale bardzo trudno mądrze niemi zarządzać. Krytyka powieściowa powinna stale przy każdej sposobności znamiona języka i stylu szczegółowo omawiać, ażeby tę sprawę przed oczami pisarzów i czytelników utrzymywać na porządku dziennym, jako rzecz, której nie wolno na łaskę przypadku pozostawiać.

Trzecim z kolei wagi fizycznym czynnikiem powieści jest jej budowa. Zaczyna się ona już we włościach stylu, ze słów bowiem muszą być budowane zdania, a ze zdań — okresy. W dalszym ciągu idą bryły, uwidocznione graficznie przez rozdziały, a wkońcu jeszcze większe — przez części powieści. Ta budowa zewnętrzna nie powinna powstawać sama, ale musi podlegać wewnętrznej budowie powieści i stanowić tylko jej uwidocznienie. Budowa zaś wewnętrzna polega na rozczłonkowaniu, układzie i stopniowaniu materjału duchowego powieści — akcji, opisów, tonu. Charakter budowy — jej strzelistość, albo przyziemność, jej harmonja i logika stanowić mogą przedmiot gustu, kultury i sporów krytycznych, ale jedno jest bezwarunkowo konieczne: samo istnienie budowy. Otóż we współczesnej literaturze polskiej coraz widoczniejszy staje się zanik samego poczucia budowniczego. Autorzy nie budują ani całości ani części swoich utworów. Opowiadania swoje wloką lub gnają — zależnie od temperamentu, ale jednym ciągiem wdal wydłużonym, a przystanki urządzają sztuczne, graficzne. To też nierzadko zdarza się że nowy rozdział powieści umieszczony jest niemal na przecinku (architektonicznym), a znów gdzieindziej dwa właściwe i w danem miejscu konieczne rozdziały dzieli skromna kropka, nawet bez *a capite* postawiona. Na każdym kroku obrażany jest zmysł budowniczy. Z powieści robi się nudny barak, na poczekaniu klecony i jedną linją naprzestrzał biegnący, a krytyka powieściowa zupełnem to barbarzyństwo pomija milczeniem.

Trzy naszkicowane tu wymagania, które każdej powieści stawiać należy, uzupełnić musimy czwartym zrębem powieściowym — wyobraźnią. Jak bez wartości języka, stylu i budowy, tak i bez wyobraźni powieściopisarz nie może rościć praw do przyznania mu talentu. Bywają różne rodzaje wyobraźni pisarskiej, jak oto — rysunkowa, malarska, rzeźbiarska, muzyczna, oraz ich połączenia, ale wartością ich podstawową jest plastyczność. Bez względu na charakter i rodzaj wyobraźni, plastyczność rozstrzyga o jej sile. Brak tego lub innego rodzaju wyobraźni u pisarza nie może stanowić dlań zarzutu, o ile autor rozporządza innym, bodaj jednym rodzajem o sile odpowiedniej. Natomiast słabość i czczość plastyki staje się zarzutem, który godzi w podstawę talentu pisarskiego. Ale krytyka współczesna i w tej dziedzinie jest bardzo względna, bo... niema. Jakkolwiek wyobraźnia jest silnikiem duchowym, który w powieści wprawia w ruch mowę, styl i budowę, rozważania na temat wyobraźni rzadko jawią się w krytyce współczesnej. Dlatego też na podboje powieściowe, ufni w swoją gwiazdę literacką, odważnie wyruszają dzisiaj całe gromady poczciwców i hultajów z pośród pleniącej się zawsze i wszędzie rodziny grafomanów. Co dawniej kryło się skromnie w rękopisach i kufrach, teraz hula po ulicach na samochodach reklamy, ba! i po całym świecie lata na radjach propagandy.

Te są cztery zręby powieściowe, czysto artystyczne. Skoro jednak krytyka współczesna o nich naogół przemilcza, to o czem pisze? Pomijając pus-

togadulstwo, pisze o prawdzie życiowej, społecznej, lub historycznej, w powieści zawartej, oraz o wartościach moralnych i wychowawczych. To są sprawy bardzo ważne, bez nich krytyka byłaby pozbawiona czołowych zwojów mózgowych, ale i bez uwzględnienia spraw artystycznych w powieści krytyka staje się kaleką. Potrzeba równowagi, a to tembardziej, że najlepsze wartości moralne i życiowe, społeczne i historyczne pozostają bezsilne, przez ogół niedostrzeżone, we wpływach nikłe, o ile nie przemawiają dzielnemi środkami artystycznemi. Autorom bez talentu nie pomoże, oczywiście, ani krytyka, ani ich własna świadomość Dobra i Zła artystycznego. Ale istnieją talenty, które z braku rozumnej i uczciwej krytyki idą po linji najmniejszego oporu i opuszczają się, unikając twardych i stromych ścieżek górnego artyzmu. Z drugiej zaś strony talenty wielkie i silne w społecznej atmosferze niewiedzy i niedbalstwa w sprawach sztuki napotykają zbędne, bo materjalne na drodze swojej przeszkody.

Zjawiskiem, coprawda, niezmiernie u nas rzadkiem jest krytyk literacki dobrze znający język polski, oraz obdarzony żywem i głębokiem poczuciem stylu, budowy i wyobraźni pisarskiej. Może dlatego krytyka tak starannie unika rozważania i oceny artystycznych stron powieści? Byłoby to objawem uczciwości, że nie pisze o tem, na czem się nie zna. Ale znów, jakże to pogodzić z pracą krytyczną? Rzeczą tak samo nieuczciwą jest przemilczanie najistotniejszych wartości dzieła sztuki. Gdzie wyjście z tak trudnego położenia? Sądzę, że istnieją dwa wyjścia i podaję je do wyboru: kto uczciwy, a nie czuje się na siłach, niechaj porzuci pracę, której wykonywać nie umie, a kto uczciwy i ma odwagę ryzyka, niechaj zabiera się do studjów samodzielnych i zacznie zaraz, tytułem próby, w krytyce bieżącej uwzględniać więcej strony artystyczne powieści. O ile czynić to będzie z prostotą i rzetelnością, chociażby narazie błędy popełniał, już samym faktem tych usiłowań budzić będzie zaciekawienie ku sztuce powieściopisarskiej, rozwagę i świadomość artystyczną autorów i opinję czytelników! A i sam wiele się nauczy... Jeden tylko leży ciężki kamień na drodze tej uczciwości i odwagi: takiego krytyka prędko z prasy wyświecą, tem prędzej, im więcej będzie miał wiedzy i kultury.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

CYPRJAN NORWID: INFORMACJA BIOGRAFICZNA — II.

POCZĄTKOWE WYCHOWANIE

1

W AUTOBIOGRAFJI swojej, której urywki już przytaczałem, Norwid pisze o swojem dzieciństwie:

„Początkowe wychowanie objętego tą biografją nacechowane jest tą konieczną przypadłością, jaka nie rozłącza się od wczesnego sieroctwa. Po ojcu i po matce dwa prawie zupełnie wygasłe rody były tego przyczyną“.

Ta wymijająca, a nawet niezrozumiała w drugiej części notatka o niczem nie informuje. Wiedzieliśmy dotąd, że chłopiec oddany jeszcze za życia ojca do szkół w Warszawie, uczył się w gimnazjum na Lesznie.[1]) Mieszkał gdzieś na ubogiej stancji, jak tylu innych chłopców niezamożnych. Obecnie znalazły się w dawnych aktach szkolnych ślady tej edukacji [2]). Wynika z nich, że chłopiec, oddany w 11-ym roku życia w r. 1832 do klasy I, uczył się niechętnie. Z roku na rok nauka szła gorzej. W klasie V z wyjątkiem religji wszystkie stopnie miał mierne. Z początku w klasie II i potem jeszcze w kl. IV celował w języku polskim, rysunkach i historji. Potem i tu szło gorzej. Sprawowanie notowano ujemne, jest mowa o naganach, a nawet o rózgach. Promocji do klasy VI nie dostał (1837) i wtedy szkołę opuścił.

To trzeba w biografji Norwida z naciskiem pewnym ustalić, że ukończył właściwie tylko cztery klasy szkoły średniej, że „początkowe“ wychowanie miał zaledwie elementarne, znacznie niższe, niż np. Goszczyński, z którym się potem zetknął w Paryżu. Przy studjowaniu Norwida trzeba zawsze tę okoliczność mieć w pamięci, inaczej nie zdamy sobie sprawy z trudności, jakie poeta a zwłaszcza myśliciel miał w twórczości swojej do przezwyciężenia.

Porzucając szkołę w r. 1837, miał lat 16. Rodzice nie żyli. Nad nim i rodzeństwem nieletniem czuwała formalnie rada opiekuńcza, w której główną rolę odgrywali: Ksawery Dybowski z Dębinek i rejent ze Stanisławowa Jan Sobieski. Można wnosić, że młody Cyprjan poczuł się rychło w swojem otoczeniu w Warszawie człowiekiem wolnym i dorosłym. Opiekunowie byli daleko i nie widać, żeby ich kochał lub szanował. Wnosić o tem można z pierwszej jego noweli „Czuły opiekun“ (1840) w której opisał złośliwie Dębinki i stosunek swój do Dybowskiego oraz jego drugiej żony. Żalił się na opiekuna i szydził z niskiej kultury tego domu [3]). Nie wiem, na czem biografowie Norwida oparli twierdzenie, że Norwid właśnie w tym domu zaznał wpływu wysokiej kultury ziemiańskiej i literackiej. Jak zresztą zobaczymy, niema w tych latach Norwida tyle miejsca, aby możliwy był „paroletni“ pobyt jego na wsi, o którym tyle się mówiło za Niewiarowskim (Półkozicem) [4]).

Opieka rodzinna pewno dobrze się natroskała, co dalej robić z chłopcem. Nawet ukończenie szkoły średniej nie dawało wówczas widoków na kształcenie się uniwersyteckie, uniwersytet bowiem był skasowany. Ale co robić z piątoklasistą? Rząd sprzyjał wychowaniu artystycznemu. Powstały w Warszawie szkoły rysunków i malarstwa, z których Kokulara należała do najlepszych. Sztuka stała się z konieczności modą w Warszawie. Ponieważ Cyprjan składał już w szkole dowody uzdolnień artystycznych, oddano go do szkoły Aleksandra Koku-

---

[1]) Półkozic (Niewiarowski). „Kłosy“, 1886, s. 314.

[2]) Tadeusz Makowiecki: „Z lat szkolnych Cyprjana Norwida“. Ruch Literacki, 1929, nr. 4.

[3]) „Pisma zebrane“ (Przesmycki), t. E, s. 201 i przypis na s. 313. W t. A. „Pism“ Norwida Przesmycki umieścił szkic rysunkowy Norwida, przedstawiający Dybowskiego w rozmowie z żydem.

[4]) „Kłosy“ l. c.

lara. O swojej edukacji artystycznej Norwid w autobiografji już cytowanej pisze:

„Rudimentów sztuki uczył się on od niepospolitego polskiego artysty i znakomitego człowieka, a którego uważano w stolicy ojczyzny za pół obłąkanego. Był to arcy szeroki umysł i niemały talent, a nazwisko jego Minassowicz. Dalej mistrzem plastycznej wiedzy był dla Norwida Ludwik Pamdolioni, którego dłuta stoją kolosalne posągi we Florencji na tymże bruku, gdzie Dawid Michała Anioła“.

Co było potem we Florencji to nas w danej chwili nie interesuje, ale za ważną informację należy uważać stosunek do Minassowicza. Musiał wywrzeć jakiś wpływ na sposób myślenia młodego Norwida, jako filozof przygodny. Niestety brak o tym Minassowiczu bliższych wiadomości.

2

Kiedy Cyprjan kształcił się jako rysownik i malarz, opieka krzątała się około zapewnienia dzieciom po Norwidach jakiegoś sposobu utrzymania. Postarano się o zrealizowanie spadku po ojcu z owej nieruchomości, pozostawionej w kraju zabranym. Ukończono postępowanie spadkowe w r. 1838. Aktywa, jak zbadał Pomarański [5]), wyniosły 61.385 złotych ówczesnych (15 kop.), ale do nich zgłosili się wierzyciele Jana Norwida ze starym długiem przeszacowanym z rubli na 29.426 zł. i kilku innych. Między nimi znalazł się jednak i opiekun Ksawery Dybowski, kładący areszt na sumę 53.254 zł. 20 gr. Prawdopodobnie znalazł jakiś tytuł po temu, aby uratować część przynajmniej spadku dla dzieci, któremi się opiekował. Ile ostatecznie uratował, nie wiadomo, w każdym razie jakiś fundusz ocalał, skoro Cyprjan po dojściu do pełnoletności, mógł się zdobyć na podróż zagranicę.

Drugiem zadaniem opieki było wyjednanie dla dzieci emerytury po ojcu. Dopięto tego dopiero we wrześniu 1841 r. w ośm lat po zejściu ojca. W drodze łaski cesarskiej przyznano dwu nieletnim synom, Cyprjanowi i Franciszkowi za lata ubiegłe: pierwszemu 790 zł. 23 gr., a drugiemu 875 zł. Ponieważ Cyprjan w tym roku doszedł do pełnoletności, więc w następnym roku nic już nie dostał.

W aktach b. gimnazjum na Lesznie znalazł się dokument z końca 1838 r., z którego dowiadujemy się paru szczegółów z tego okresu. Mianowicie, Norwid wniósł podanie o wydanie świadectwa szkolnego, a w tem podaniu powołuje się, że „od czasu opuszczenia gimnazjum aż do tej pory uczęszczał do malarni W-go Kokulara“ i że „życzy sobie teraz słuchać wykładu nauk rysunkowych na dodatkowych kursach w pałacu Kazimierzowskim“. Może tam miał do czynienia z Minassowiczem?

W listopadzie 1840 r. Norwid dostał się na aplikację do wydziału technicznego biura Heroldji [6]), gdzie urzędował jego krewny Michał Sobieski. Widocznie umiał już tak dobrze rysować, że z tej protekcji mógł skorzystać. Pracował tam pod kierownictwem szefa wydziału rysunkowego, Józefa Lexa, napoleończyka. Atmosfera Heroldji mocno podziałała na jego wyobraźnię co do wysokiego pochodzenia rodowego. Tam to niewątpliwie studjował rodowody Sobieskich i Norwidów. Nie mógł tam nic innego znaleść o Sobieskich, jeno to, że z rodu królewskiego już w w. XVIII śladu nie zostało. Tembardziej znamienne jest urojenie poety co do królewskiego pochodzenia, że miał sposobność poznać prawdę.

Niewiele jednak zagrzał tu miejsca. Coś ciągnęło go, jak młodego Wikinga w świat. Myśl o tem, że dobiega pełnoletności, że wyrwie się nareszcie z pod opieki „miłych opiekunów“, że wreszcie rozporządzać będzie pewną kwotą pieniędzy, — nie dała mu spokoju. W d. 26 kwietnia 1841 r. złożył zwierzchności swojej podanie, aby go zwolniono od zajęcia, ponieważ „nie tylko stan zdrowia, ale i interesa familijne wymagają, ażeby na czas długi oddalił się z Warszawy“ [7]). W czerwcu 1841 roku zwolniono go.

Był wolny. Być może w tym momencie nie był jeszcze zdecydowany na wyjazd zagranicę. Aspiracje artystyczne Norwida rozdwajały się już od dłuższego czasu między literaturę i plastykę. Żywy umysł dał się porywać otoczeniu literackiemu. Na tem rozdwojeniu zawsze w życiu Norwida źle wychodziła karjera malarska, w świecie bowiem literackim więcej znajdował ponęt dla swej natury, odznaczającej się przewagą skłonności intelektualistycznych.

Zwalniając się z Heroldji, miał zapewne na myśli ułożoną z Wężykiem podróż po kraju. Wycieczka owa przypada na r. 1841 i trwa miesiące całe [8]). Później następuje druga taka podróż w r. 1842. Jest to okres w dziejach rozwoju Norwida bardzo ważny. Wyrwał się z ciasnego kółka w świat do obcowania z przyrodą i ludem. Talent jego poetycki nagle zajaśniał. Obcowanie z Władysławem Wężykiem było bardzo pożyteczne. Był to człowiek od niego starszy o lat siedm, dobrze wykształcony, obyty z szerokim światem podróżnik, przytem człowiek zamożny i dobrze urodzony, co dla Norwida miało niemałe znaczenie. Piotr Chmielowski w swojej historji literatury pisze o Wężyku [9]). „Młodzieniec ekscentryczny, niezmiernie ruchliwy, wiele krajów znający, a dla własnego wylany, ukształcony i ciągle się kształcący... Ogłosił w r. 1842 w Warszawie „Podróże po starożytnym świecie (2 tomy)“ [10]).

3

Norwid śpieszył się. Wkraczał w życie frontem bardzo rozciągniętym: sztuki piękne, krytyka, poezje, nowele, filozofja. Wszystkiego odrazu próbował, szukając dróg jako twórca, a jednocześnie nie zarzekał się życia towarzyskiego i jego ponęt, usiłując i tutaj przodować a zdobywać. Bardzo wcześnie wpadł w życie pełnym żaglem. Wychowawcą jego była Warszawa ówczesna. Dlatego o niej parę słów trzeba powiedzieć.

Dziewięć lat zaledwie upłynęło od powstania 1830 r. Życie literackie zaczynało dopiero kiełkować na zapuszczonej glebie. Skutki polityczne katastrofy, wyrażające się w likwidowaniu przez rząd rosyjski wszystkich instytucyj, jakie z ruin dawne-

[5]) Stefan Pomarański: „Z dziejów doli Norwidowej w ojczyźnie“, „Ruch Literacki“ 1926, nr. 8

[6]) Pomarański, l. c., s. 235

[7]) Pomarański, l. c., s. 236

[8]) Ob. Wł. Arcimowicz: „Z dziejów przyjaźni C. Norwida z Wł. Wężykiem“, „Ruch Literacki“, 1929, nr. 10, oraz w poznańskim „Roku“ (1843), artykuł Wł. Wężyka, II, s. 128.

[9]) „Historja literatury polskiej“. Warszawa 1900, t. V, str. 187.

[10]) Drugi tom „Podróży Wężyka“ wydał w r. 1930 prof. Bystroń p. t. „Egipt. Obrazy“. Kraków.

go państwa ocalały, długo jeszcze ze wzrastającą siłą działać będą w tym zaborze. Następne pokolenia przywykać będą do niewoli i przystosowywać życie do nowych warunków. Pokolenie 1830 r. oszołomione było ciosem jak od pioruna, ale przedewszystkiem fizycznie przerzedziło się. Spis ludności, dokonany we wrześniu 1831 r., wykazał, że w wyniku klęski w samej Warszawie ubyło ludności męskiej — przeważnie ze sfer oświeconych 10.654 osób. Jeżeli zważymy, że zamknięto wyższe uczelnie, skasowano wszystkie instytucje życia politycznego, a mężczyzn wzięto w ścisłą kuratelę policyjną pod grozą utraty tych stanowisk, jakie im jeszcze zostały, jeżeli dodamy rezultat psychiczny przerażenia, wyrażający się w marazmie i w reakcji moralnej starszych przeciwko żywszym przejawom uczuć patrjotycznych, — będziemy mieli obraz zastoju, jaki w życiu umysłowem się wytworzył.

A zresztą rzućmy okiem na drogę, którą Warszawa przebyła. My dzisiaj jeszcze w czasach niepodległości walczymy w Warszawie z jakąś niemocą, która nam nie pozwala sprostać zadaniom przodownictwa duchowego w społeczeństwie. Cóż dopiero przed stu laty! Warszawa miała na dworze królewskim w XVIII w. oazę wysokiej kultury, ale w sposób nowoczesny zaczęła budować się jako ognisko dopiero za Księstwa, a potem Królestwa. W ostatnich latach XVIII w. historja literatury nie notuje w Warszawie żadnej prawie książki. Towarzystwo Przyjaciół Nauk założono w r. 1800 wśród pustki, a w r. 1831 już je skasowano. Od rozbiorów pozamykały się kordony i Warszawa pozostawiona była własnym siłom, mazowiecko-litewskim, a te wogóle nie były wielkie. Każde pokolenie zaczynało pierwsze, niczego nie dziedzicząc i schodziło z pola bezpotomnie, ginąc w walkach zbrojnych lub emigrując. Każdy ruch powstańczy dokonywał w rezultacie selekcji sił dzielniejszych z pośród sfer oświeconych, bo lud do walki nie szedł, co było jedną z największych trosk patrjotów i jedną z przyczyn zainteresowania zagadnieniem ludu. Tak ładnie zapowiadający się przed rewolucją ruch literacki w Warszawie należał za lat młodych Norwida do legendy. Nie było komu pisać, nie było o czem pisać wobec terroru policyjnego.

Tak się dzieje układały, że Warszawa nigdy nie miała okresu dłuższego spokoju na pracę kulturalną. Dawniej była obozowiskiem szlachty na potrzeby sejmów, zalewały ją fale cudzoziemców, czy za czasów saskich, czy za Stanisława Augusta, po rozbiorach znowu za Prusaków, potem w czasach napoleońskich, wreszcie rosyjskich.

Około r. 1840, kiedy Norwid przecierał na świat oczy, zaczęło się zawiązywać w Warszawie na nowo życie umysłowe. Życie ma swoje prawa zaników i odrodzeń, a te splatają się z sobą, wytwarzając swoiste postacie stosunków. Z faktu przerzedzenia się sfer oświeconych i obniżenia poziomu umysłowego wynikły wkrótce dwa nowe: 1) zrobiło się miejsce dla kobiet, które nie dzieliły losu mężczyzn w rewolucji, i dla niedorostków, 2) te nowe siły nabrały w pustce dużej wagi gatunkowej, co wyraziło się w szybkim ich rozroście. Bez uwzględnienia tych faktów nie da się zrozumieć wielu okoliczności w życiu i karjerze Norwida.

Stwierdzam fakt, że w r. 1840, kiedy Norwid wkraczał w życie literackie stolicy, on sam miał lat 19, Edward Dembowski, który rej wodził, liczył lat 17, Jan Majorkiewicz 20, Roman Zmorski 16, Włodzimierz Wolski 16, Aleks. Niewiarowski 16, Józef Miniszewski 17, Józef Kenig 19, Wacław Szymanowski 19, Hipolit Skimborowicz 25, Żmichowskia 21, Zofja Węgierska 15, Józef Dziekoński 25, Teofil Lenartowicz 18, Antoni Czajkowski 24, Eleonora Ziemięcka 21 itd. W czasie rewolucji mieli ci ludzie 6—7—9—10 lat.

Weszli w świat do nowych stosunków wprost, niewiele się dziwili, porównania im się nie narzucały z tem, co było przedtem, chcieli żyć. I rozrastali się nie tamowani, nie tłumieni rygorem autorytetów, bo było pusto, jak w wytrzebionym lesie. Ale ten rozrost nie był zdrowy. Rozprzestrzeniał się wszerz, karłowato. Nie mogło być już mowy o strzelistości, jaką zapowiadał Mochnacki. Nie było już życia politycznego; po dawnem zarzewiu myśli narodowej zostało tylko trochę iskier w popiele. Myśl literacka rozpełzła się po domach prywatnym obiegiem w poszukiwaniu łatwych zdobyczy towarzyskich, rozgrzeszana w opinji z obojętności na to, co z krajem się działo. Nie to pokolenie ten stan rzeczy sprawiło; ono go już zastało.

Przyjrzymy się temu życiu bliżej, ale tutaj miejsce na refleksję, że to, co historja narodu mówi o schorzeniu duszy polskiej w niewoli, nie jest czczym frazesem i nie spełniłby swego obowiązku biograf pisarza, dojrzewającego w Warszawie w dziewięć lat po rewolucji, któryby działanie tej strasznej atmosfery politycznej w wychowaniu młodzieńca nie uwzględnił. Wogóle przyznać trzeba rację Mochnackiemu, który zalecał, żeby krytyk, piszący o czasach swoich, zachowywał się tak jak historyk, patrzący na rzecz z odległości, na dawne zaś rzeczy żeby patrzał tak, jakby one działy się przy nim. Widzimy przecież koło siebie, że cudów niema w wychowaniu, nawet w kształtowaniu się talentów. Za naszych czasów otwarło się dla pisarzy łatwe pole powieści realistycznej, dające ładny naturalny plon utalentowanym obserwatorom, nie mającym kultury umysłowej. Gdy jednak mamy do czynienia z twórczością wyższego rzędu na poziomie właściwej epoce wiedzy filozoficznej, to należy pytać o podstawy elementarnej kultury danego umysłu.

Talent Norwida, jak stwierdzają wszyscy historycy literatury, określił się bardzo wcześnie. Oblicze jego, nawet jako myśliciela, w latach warszawskich (1839—1842) już jest wyrzeźbione. W r. 1837 był w klasie piątej, w 1839 już pisał. Wiemy, co w tym czasie robił, że nie było czasu na studja uzupełniające szkołę. Skoro więc wysoko podnosimy poezję z r. 1840 dziewiętnastoletniego młodzieńca, to składamy hołd jego Bożej iskrze poetyckiej. I tem więcej podziwiać ją będziemy, im lepiej się przekonamy, jak małemi środkami do rezultatów artystycznych dochodził. Ale to nas, jako czcicieli talentu poetyckiego Norwida, poróżni z tymi badaczami jego pism, którzy biorą na siebie trud przedstawiania Norwida jako twórcę systemu filozoficznego.

Był artystą, który przeżywał w sposób poetycki lotne pierwiastki filozofji współczesnej. Ale nie zrozumie cierpień jego twórczości późniejszej, niepowodzeń i rozgoryczeń, kto nie uwzględni tych braków elementarnych, pomimo których, podżegany gorączką tworzenia, borykał się z najtrudniejszem zadaniem ducha, jakiem jest — objawianie Prawdy z intuicji artystycznej.

ZYGMUNT WASILEWSKI

NA WIDOWNI

Z Wilna daleko do Pomorza. — Recepta Goethego. — Albo — albo. — Polacy przeszkadzają Niemcom i żydom. — Odprężanie polsko-niemieckie. — Objawy zdziczenia.

OD CZASU Goethego stale powtarzamy receptę literacką, dającą się jednak zastosować i do natchnień politycznych:

Wer den Dichter will verstehen,
Muss in Dichters Lande gehen,

co w wolnym przekładzie znaczy: Kto nie może zrozumieć czyichś pomysłów twórczych, niech się rozejrzy w najbliższem twórcy środowisku. Co tu długo gadać — trzeba jechać do Wilna, poczytać tam dzienniki sanacyjne, pogadać z ludźmi i przekonać się, jak stamtąd daleko do naszej granicy zachodniej. Wyobraźnia polityczna tamtejsza nie sięga tak daleko. Dosyć przeczytać „pogaduszki“ Metternicha miejscowego p. Cata (Mackiewicza) w „Słowie“ i Testisa (Okulicza) w „Kurjerze Wileńskim“, żeby zrozumieć ekscentryczność wileńskiej szkoły politycznej.

„To trudno „— powiada p. Cat —“ Albo—albo. Albo się zaciąga pożyczki, albo wpaja się przekonanie o tem, że grozi nam agresja niemiecka“ (nr. 275).

Wschodni umysł ciągle trafia na rozdroża: albo-albo. Więc tu przed Polską widzi taką alternatywę: albo zadaniem dziejowem Polski jest skubnąć gdzieś trochę grosza (a któżby tego nie chciall), albo bawić się w czułostki pomorskie. Publicysta wileński oskarża naród o podwójny brak realizmu życiowego: raz, że nie docenia znaczenia pożyczki, a powtóre, że wytwarza fikcję „agresji“. Z wywodów jego zdaje się przeglądać to przekonanie, że sprawę „kurytarza“ (tak stale nazywa sprawę Pomorza) Polacy wymyślili i że wmawiamy ją światu. Jest też o co się troszczyć — macha ręką.

Opinja patrjotyczna społeczeństwa — że dopowiemy tę myśl sanatorską — robi tylko kłopot, przeszkadza wręcz „sanacji“, dla której palącym postulatem życia jest zdobycie pożyczki. Co będzie jutro—wszystko jedno, na razie hasłem jest: Polsce nic nie grozi, wszystko zapowiada się jaknajlepiej. „Może to źle“ — dodaje p. Cat — „ale dwóch tych rzeczy naraz robić nie można. Trzeba wybrać jedno albo drugie“.

Wogóle ze społeczeństwem polskiem jest ogromny kłopot. Życie narodowe ma to do siebie, że nigdy nie zarzeka się strun uczuciowych, marzeń o potędze, że zawsze poświęca sprawy doraźne dla jakichś zagadnień odległych, że w gruncie rzeczy zawsze jest ze swoim ideałem narodowym romantyczne.

P. Cat i p. Testis zawzięcie z sobą się kłócą na temat subsydjów, ale w tym wypadku są zgodni. Jednocześnie bowiem p. Testis w artykule wstępnym p. t. „Oblicze Obwiepolu“ (nr. 251) utrzymuje, że ruch młodzieży w Poznańskiem i na Pomorzu był wywołany tylko chęcią „przysporzenia kłopotów rządowi“, zatem „nic dziwnego, że wojewoda Raczyński“ itd. Ale są i odcienie różnic. „Sanacja“ wileńska gra pełnym akordem: Niemcy — żydzi. „Słowo“ jest progermańskie, „Kurjer Wileński“ ma prócz tego coś do powiedzenia o stosunku do żydów, ma przeto pełniejszy ton, bo dopiero w tem połączeniu syntetyzuje się sedno polityki realnej. Zadaniem Obwiepolu — niepokoi się p. Testis — była „dotąd czynna obrona przed atakami niemieckiemi i zalewem żydowskim“, ale oto nowe niebezpieczeństwo ze strony nacjonalistów, którzy tyle kłopotu robią trzeźwej polityce: „Pan Dmowski formułuje w swoich artykułach teoretyczne przesłanki dla koncepcji oderwania się od świata kapitalistycznego i zamknięcia się w autarkji gospodarczej“.

„Obwiepol“ zdaniem autora zapożycza się ideowo od Hitlera i robi przez to podwójny kłopot kierownikom politycznym, bo czyż kapitaliści (żydzi) mogą dać pożyczkę, skoro Polska zapowiada, że się wyemancypuje od kapitału międzynarodowego? „Nic dziwnego zatem, że wojewoda“ itd.

Jednem słowem nacjonaliści przeszkadzają, bo nie znają się na robocie. Jak można bowiem gospodarować bez żydów? — tego szlachcic kresowy zrozumieć nie może. Całość polska jest jak folwark, a cóżby szlachcic począł bez żyda, któżby mu interesy finansował? W Wilnie się jeszcze nie orjentują, że czasy wiodą ku owej „autarkji“ t. j. samostarczalności, kiedy obywatel obywać się będzie i naród też—bez żyda. Już teraz się pokazało, że najlepiej stoi gospodarz, który się obył bez pożyczki, więc i Polska z alternatywy p. Cata wybierze romantyczną obronę „Kurytarza“ (Pomorza).

Polityk wileński ucieszył się z powodu ustąpienia ministra Zaleskiego tylko z tego powodu, że p. Zaleski porozumiewał się z Francją i ten sojusz uważał za siłę polityczną Polski:

„Jedyną słuszną polityką byłoby w danej chwili o d p r ę ż e n i e p o l s k o - n i e m i e c k i c h s t o s u n k ó w. Jest to zadanie strasznie trudne i bardzo w Polsce niepopularne i dlatego trudno się dziwić, że p. Zaleski wolał inną politykę, która była zła, lecz nie wymagała wielkich wysiłków i miała zapewnione 100% popularności na terenie wewnętrznym“.

Więc to my mamy „odprężać“ i to wbrew 100% ogółu polskiego. Tego się politycy wileńscy spodziewają po następcy p. Zaleskiego. Wybierają ze swego albo-albo: pożyczkę? Nie. Pożyczka była tylko manewrem demagogicznym; wybierają wpływy niemieckie.

Za wiele się u nas mówi o „objawach zdziczenia“ bez dostatecznego prawa kompetencji. Jabym nazwał objawem zdziczenia przedewszystkiem sposób żydowski myślenia o zagadnieniach narodowych. Zestawienie np. równorzędne pożyczki i sprawy Pomorza — uważam za objaw takiego zdziczenia. Za taki objaw uważać trzeba wogóle brak zdecydowanego poglądu na to, kto jest gospodarzem w Polsce, Polacy czy Żydzi, zdziczeniem jest serca uczucie grozy czy zgorszenia na widok objawów patrjotyzmu polskiego, zdziczeniem woli twórczej szukanie po omacku dróg już historycznie wytkniętych, zdziczeniem — dyletantyzm tam, gdzie każdemu posunięciu towarzyszyć powinna świadomość wielkiej odpowiedzialności wobec przyszłych pokoleń, zdziczeniem przedewszystkiem pogląd, że naród może p r z e s z k a d z a ć w twórczości politycznej.

Nie dotykam kryminalnych objawów zdziczenia, ograniczam się tem, co można powiedzieć publicystom, wadliwie nastawionym w poglądach na sprawy polskie. Panowie Cat i Testis są odpowiedzialni za to przedewszystkiem, co się dzieje na bliskich im kresach, a łatwo mogą ocenić, czy to, co się dzieje, jest postępem, czy też cofaniem się,

jeżeli zdolni są jeszcze przypomnieć sobie tradycje polityki A. Czartoryskiego i Tadeusza Czackiego. Wtedy woli tworzenia polskiego trudniej było się rozpościerać na kresach niż dzisiaj, a czy tamci działacze zrozumieliby myśl u tych testisów i catów sanacyjnych, którzy na Polesiu szczepią w szkołach ukrainizm? Poleszucy, pragnąc wyrwać się z nicości cywilizacyjnej, dopraszają się nauki polskiej. Przychodzi do nich Polak i namawia ich na cywilizację białoruską, a gdy tę odrzacają, proponuje im „ukraińską". Poleszuk przerażony: już nie ujrzeć mu nigdy światła!

Mówmy więc szeroko o objawach zdziczenia. Nie zrozumielibyśmy ich, gdybyśmy nie poznali szkoły sanacyjnej wschodniej, pretendującej do palm akademickich, a nie mającej najniższych klas kultury.

Wer den Dichter will verstehen...

Z. W.

SKONFISKOWANO

GŁOSY

ROK MIJA OD CHWILI, GDY NA ULICACH WILNA PADŁ, UGODZONY KAMIENIEM ŻYDOWSKIM Ś. P. STANISŁAW WACŁAWSKI, student Uniwersytetu Stefana Batorego.

Był synem ludu, jednem z sześciorga dzieci chłopa na ośmiu morgach z pod Sanoka. Był niemal symbolem ciężkiego trudu, z jakim chłop polski przebija się do oświaty. Pomyślmy: kryzys trwa już lat kilka, rolnictwo, zwłaszcza drobne, przeżywa skrajną nędzę. Chłopi wracają do łapciów i krzesiwka. Na ośmiu morgach siedzi ośmioro ludzi. Zdawałoby się, że tych wieśniaków, troską do ziemi przygiętych, nic nie może wyrwać z ciasnego kręgu dnia powszedniego. Nieprawda! Oto ci nędzarze sięgają spracowanemi rękami do ostatnich oszczędności. Dają je na drogę swej nadziei i dumie: synowi i bratu, który pojedzie do dalekiego miasta po wiedzę, ona rozświetli wnętrze nędznej chaty, ukoi starość rodziców, wwiedzie kmiecą rodzinę w krąg warstwy oświeconej. Warto głodować dla takich celów.

Jedzie syn chłopski na uniwersytet. Widzi wkoło siebie różne sfery, biedne i bogate: ale on chyba najbiedniejszy. Czyta ulotki: „do niezamożnej młodzieży akademickiej". Młodzież komunistyczna i socjalistyczna pokazuje palcem bogatszych: „oni mają, a ty nie; winieneś im być wrogiem".

Jest jedną z tajemnic duszy polskiej, że słowa podobne przechodzą bez echa. Ten, w biedzie wyrosły chłop jest przedewszystkiem Polakiem i szuka tych, co są **najbardziej polscy**: ci będą jego braćmi. Odruchem serca zwraca się do Wszechpolaków: tam nikt go nie spyta, ile ma w kieszeni, nie przypomina mu natrętnie jego ubóstwa; tam kwestje materjalne są na drugim planie. Mówi się o czem innem — o tem, że ziemia, po której stąpa, jest polska, że polską jest Wszechnica Batorowa, że państwem naszem winniśmy rządzić my, Polacy, że on, Wacławski ma większe prawa, choć biedny, niż bogaty fabrykant Poznański, kupiec Wiślicki, profesor Askenazy, dyplomata Mühlstein...

SKONFISKOWANO

„WSTĘGA" — pod tym nagłówkiem pojawiło się pismo tygodniowe, poświęcone kwestji żydowskiej. Zielonego koloru wstążka, która jako winjeta okala kliszę tytułową — starczy za deklarację programową.

Tygodnik jest popularny, dziesięciogroszowy, zwraca wszakże uwagę poziomem kulturalnym i estetycznym, zarówno jeśli chodzi o zewnętrzną szatę graficzną, jak treść i formę zamieszczanych notatek i artykułów. Ta dbałość w tygodniku tanim, przeznaczonym dla najszerszych rzesz, jest niewątpliwie znamienna. Wszak pośród rozlicznych przyczyn, które, zwłaszcza w młodem pokoleniu inteligencji, tak odruchowo szeregują Polaków w obozie przeciwżydowskim, nie ostatnie miejsce zajmuje uczucie estetycznego czysto niesmaku, jaki żydostwo wywołuje.

„Wstęga" przynosi mnóstwo ciekawych informacyj, zwłaszcza dotyczących wciskania się żywiołu żydowskiego w najrozmaitsze dziedziny polskiego życia. Dla przykładu przytoczymy podany w niej spis profesorów i docentów żydów (wraz z wychrztami), wykładających na uniwersytecie warszawskim:

Askenazy Szymon — profesor historji; **Bałaban** Majer — docent historji; **Brokman** Henryk — docent medycyny; **Centnerszwer** Mieczysław — profesor matematyki; **Cytronberg** Seweryn — docent medycyny; **Dickstein** Samuel — profesor matematyki; **Elzenberg** Henryk — docent humanistyki; **Handelsman** Marceli — profesor historji; **Hirszfeld** Ludwik — profesor tyt. medycyny; **Jasinowski** Bogumił — docent filozofji; **Konic** Henryk — wykładający na prawie; **Nussbaum** Henryk — profesor medycyny; **Przeworski** Stefan — docent historji; **Rajchman** Aleksander — docent matematyki; **Słonimski** Piotr — docent medycyny; **Sterling** Władysław — docent medycyny; **Sterling-Okuniewski** Stefan — docent medycyny; **Szorr** Mojżesz — profesor tyt. historji; **Szteinberg** Dina — prowadząca ćwiczenia z filozofji; **Tarski** Alfred — docent filozofji; **Walfisz** Arnold — docent matematyki; **Zmigryder-Konopka** Zdzisław — prowadz. ćwicz. z historji; **Zweibaum** Juljusz — docent medycyny.

AKCJA PROPAGANDOWA ZA REWIZJĄ GRANICY polskiej na rzecz Niemiec wzbiera na sile i wchodzi w ciekawą fazę. Są już pisma, co przeznaczyły się do orędowania tej sprawie, uznawszy ją uroczyście za najdonioślejszą. „W dzisiejszym świecie niema żadnej sprawy ważniejszej" — pisał „*The Observer*" (z 30.X). Uzasadnialiśmy już na łamach „Myśli Narodowej", czemu

kampanja rewizyjna, jeśli nie popełnimy zaniedbań, nie może wziąć groźnego dla Polski obrotu. To jednak pewne, że położenie obecne jest tego rodzaju, iż z naszej strony okazać powinniśmy jaknajwięcej odpowiedzialnej czujności. Nie wolno być nieprzygotowanym na tę chwilę dziejową. Należy rozumieć, w czem tkwi sedno rzeczy. Kampanja rewizyjna nie jest próbą wywarcia nacisku na Polskę, aby oddała Niemcom swoje ziemie. Jest to próba wywarcia nacisku na Francję, aby odstąpiła sojusznika. Dlatego taki wysiłek Niemców, aby działać za pośrednictwem Anglji, na której poparciu Francji niejednokrotnie po wojnie zależało i dziś niemało zależy. Wytrwale, uparcie, konsekwentnie propaganda usiłuje wbić do głów francuskich, że sojusz polsko-francuski jest główną przyczyną trudności w Europie, że dla Francji nie jest pożyteczny, że właśnie stoi na zawadzie urzeczywistnieniu jej interesów. „Gdyby pojednanie francusko-niemieckie stało się możliwe naskutek rozsądnej zmiany porządku wersalskiego i wytkniętych pod groźbą miecza granic na wschodzie, to i zniknęłaby główna przeszkoda do przeprowadzenia rozbrojenia na wielką skalę; Liga Narodów stałaby się czemś realnem, energiczna współpraca Stanów Zjednoczonych byłaby zapewniona. Świat zacząłby z większą ufnością patrzeć w przyszłość; odżyłyby dążności do postępu cywilizacyjnego. Niemcy stanęłyby wśród narodów jak równy między równymi. Bezpieczeństwo Francji byłoby utrwalone niewzruszalnie". Nonsensy te wyjmujemy z wyżej zacytowanego pisma angielskiego. Trudno oczywiście przypuścić, aby jakikolwiek umysł francuski pociągnąć mogła perspektywa bezpieczeństwa od strony Niemiec, utuczonych rozbojem na Polsce. Nie o to chodzi. Celem kampanji rewizyjnej jest wyzyskać wszystkie wpływy dla podania w wątpliwość wartości sojusznika polskiego, i zmusić do jaknajczęstszego i najbardziej krytycznego jej sprawdzania. To oczywiście osiągnąć można bez trudu. „Od dziś sprawa rewizji granic wersalskich w Europie wschodniej i usunięcia podstawowej przyczyny antagonizmu francusko-niemieckiego musi zaprzątnąć myśli i stać się przedmiotem rozmów wszystkich polityków, którzy chcą dokonać dzieła historycznej doniosłości, a nie tylko zaklejać papierem szpary". Jeszcze raz zacytowaliśmy wspomniany wyżej typowy głos angielski. — Zbyt silna jest logika położenia, aby nawet najsilniejsza kampanja mogła zachwiać serjo sojuszem polsko-francuskim. Akcja przeciwpolska w najlepszym razie obiecać może Francji spotężniałe Niemcy na sąsiada. Nie jest to obietnica kusząca. Ale wyraźne jest, że w obliczu tego położenia i tych wysiłków nie wolno nam sojuszu z Francją partolić; nie wolno niczego zaniedbać, co może ten sojusz zacieśnić i wzmocnić.

GDY SPOJRZY SIĘ NA OBRAZ ZDARZEŃ W NASZEJ POLITYCE WEWNĘTRZNEJ, odnosi się wrażenie, że robimy wszystko, co możliwe, aby na obecną chwilę dziejową być jaknaigorzej przygotowanymi. Weźmy pod uwagę taką zmianę na stanowisku ministra spraw zagranicznych. Nie miała ona nic wspólnego z jakiemkolwiek przeobrażeniem opinji publicznej; w najmniejszej nawet mierze nie była wyrazem troski publicznej o politykę zagraniczną. Chodziło o obsadzenie jednego z najważniejszych stanowisk, jakie w nowoczesnem państwie można sobie wyobrazić; a w chwili obecnej niezwykle wprost odpowiedzialnego. Charakterystyczne jest ogromnie dla naszych stosunków, że społeczeństwo nagle zobaczyło na tem stanowisku człowieka, o którym wiedziało tylko, że jest sanatorem z grupy „pułkowników". Charakterystyczna też wielce jest obojętność, z jaką przyjęło wiadomość o tej zmianie. *Régime* obecny tak dalece oduczył je od poczuwania się do jakiejkolwiek odpowiedzialności za sprawy publiczne, że wszystko, co w tej dziedzinie się odbywa, nie wywołuje oddźwięku i nie budzi zainteresowania.

SKONFISKOWANO

Z umiejętności i talentów nie dał się poznać. Imię jego nie jest mimo to całkiem nieznane zagranicą. Reputację tę wyrobił sobie częściowo w kraju, częściowo w czasie krótkiego pobytu we Francji. Malkontenci z obozu „sanacji", którym osobiste kwalifikacje ministra nie wystarczają, pocieszają się, że jest „adjutantem" min. wojny Piłsudskiego, i nie będzie miał polityki własnej.

NOWY MINISTER SPRAW ZAGRANICZNYCH płk. Józef Beck, jak podaje urzędowy życiorys, urodził się w październiku 1894, ma więc teraz lat 38. Szkołę średnią ukończył w Krakowie 1912 r. Studja wyższe zaś (1912 — 1914) odbywał w Politechnice lwowskiej, poczem w Wiedniu w Akademji eksportowej. Przerwać je musiał z powodu wojny. W r. 1914 wstąpił do Legjonów, odtąd pozostaje w służbie wojskowej, aż do r. 1930, kiedy objął stanowisko wicepremjera i w tymże roku tekę podsekretarza stanu w M. S. Z. Jakiś czas w r. 1923 był *attaché* wojskowym przy ambasadzie polskiej w Paryżu.

Żaden chyba z mężów stanu nie miał za sobą tyle lat służby wojskowej i nie zdołał w parę lat posiąść olbrzymiej wiedzy, potrzebnej do sterowania państwem po niespokojnych falach polityki światowej.

Komunikat urzędowy zamyka życiorys informacją wiele wyjaśniającą:

„Józef Beck od szeregu lat należy do najbliższych współpracowników Marszałka Piłsudskiego, który stale powierza mu najbardziej odpowiedzialne misje i zlecenia".

DOKUMENT

KLUB NARODOWY W SPRAWIE ROZWIĄZANIA OWP zgłosił w Sejmie wniosek następujący:

„Sejm wzywa rząd do niezwłocznego cofnięcia zarządzeń wojewodów: pomorskiego, poznańskiego i kieleckiego, zakazujących działalności, względnie rozwiązujących Obóz Wielkiej Polski".

W uzasadnieniu wniosku czytamy:

„Obóz Wielkiej Polski założony został w grudniu 1926 r. i postawił sobie za cel, jak wynika z jego programowej deklaracji, zorganizowanie „świadomych sił narodu, mających za zadanie uczynić go zdolnym do silnego ujęcia w swe ręce spraw swoich", by mógł się stać „w pełnem tego słowa znaczeniu panem swoich losów".

W szczególności Obóz dąży do zapewnienia panującego stanowiska religji rzymsko-katolickiej, do pełnego rozwoju polskiej kultury duchowej i materjalnej, do podniesienia poziomu moralnego w życiu społecznem i państwowem, do wyrobienia w społeczeństwie poczucia odpowiedzialności za losy państwa i noszenia z godnością imienia Polaka, oraz do potęgi państwa i narodu polskiego.

Od chwili swego powstania Obóz rozwija ożywioną działalność, zmierzającą do wychowania przedewszystkiem młodych pokoleń Polski niepodległej w duchu powyższych wskazań; budzi czujność społeczeństwa wobec wzrastającej agresywności Niemiec i, dążąc do unarodowienia życia polskiego, walczy z zalewem żydowskim na wszystkich polach.

Organizując w dobie powszechnego kryzysu moralnego i gospodarczego zdrowe siły narodu z pośród wszystkich warstw społecznych i grupując w swoich szeregach zgórą 200 tysięcy karnych i ideowych członków, O. W. P. jest ośrodkiem stałości w życiu społeczeństwa.

Rozrost Obozu wywołał zaciekłą, nie przebierającą w środkach kampanję szeregu wrogich mu czynników.

Rozpoczęto atak prasowy, zohydzający Obóz i jego działalność, uniemożliwiano wszelkiemi środkami organizowanie Obozu. Członków jego prześladowano, narażając ich na ciągłe szykany, prowokacje, rewizje i aresztowania. Z pośród mnóstwa opisywanych w prasie przykładów tej akcji wymienić można chociażby przetrzymywanie w więzieniu działacza O. W. P., red. Zajączka, który został w kilkudziesięciu wytoczonych mu przez władze administracyjne procesach uniewinniony, rozmyślne i złośliwe mieszanie działaczy obozowych w afery natury kryminalnej, jak to świeżo ma miejsce z red. Ciesielskim, masowe aresztowania obozowców w Radomskiem i Bialskiem, niczem nieuzasadniony i brutalny atak policji na uczestników zjazdu O. W. P. w Kaliszu, zakazanie członkom O. W. P. w Grodzisku wielkopolskim i w Jaśle urządzenia obchodu zwycięstwa nad bolszewikami, zarządzenie ostatnio w Wielkopolsce u działaczy O. W. P. przeszło 200 rewizyj, które nie dały żadnego wyniku i wiele innych.

Gdy, mimo to, Obóz rozwijał się nadal z coraz większą siłą, chwycono się metody oszczerstw. Usiłowano przedstawić Obóz w jaknajgorszem świetle, mimo licznych wyroków uwalniających w procesach, wszczynanych przeciw jego członkom. Punktem kulminacyjnym tej akcji było wypuszczenie w całej Polsce anonimowej, nielegalnej ulotki, oskarżającej rzekomych członków O. W. P. o przestępstwa. Choć stwierdzono, że rozpowszechnianiem tej ulotki zajmowały się biura B.B.W.R., władze bezpieczeństwa nie interwenjowały. Jak dalece oszczercza była wspomniana akcja, świadczy fakt, że w prasie pomorskiej ukazało się oświadczenie jednego z wymienionych w „rejestrze przestępców", Lamkiewicza, który stwierdza, że nigdy nie był członkiem O. W. P., natomiast, że jest sympatykiem B. B. W. R.

Odpieranie tych ataków było niesłychanie utrudnione wskutek konfiskowania głosów prasy, demaskujących kłamliwość oszczerczej kampanji.

Powyższa akcja robiła wrażenie planowego przygotowania w opinji rozwiązania organizacji. Istotnie, nastąpiły zarządzenia władz wojewódzkich, mocą których w szeregu województw Obóz został rozwiązany. Zakaz rozwijania działalności przez O. W. P. powitała z najżywszą radością prasa niemiecka i żydowska.

Uzasadnienie, przytoczone przez wojewodów przy rozwiązywaniu Obozu W. P., pełne jest ogólników. Powołują się oni na rzekomą kolizję z kodeksem karnym, w jakiej mieli znaleźć się członkowie organizacji, na atmosferę konspiracji, w jakiej, ich zdaniem, pracują władze obozowe i na szerzenie przez Obóz nienawiści klasowej.

Zarzuty te nie znajdują uzasadnienia w rzeczywistym stanie rzeczy. Jeśli którykolwiek z członków Obozu znalazł się w kolizji z kodeksem karnym, nie może dotyczyć to całej organizacji i powinno pociągnąć konsekwencje tylko dla winnego. Zresztą olbrzymia większość procesów, wytoczonych członkom O. W. P., jak nadmieniliśmy wyżej, zakończyła się wyrokiem uniewinniającym. Zupełnie inaczej rzecz się ma np. z procesami członków Strzelca, skazywanych nietylko za zwykłe przestępstwa kryminalne, ale i za szpiegostwa na rzecz obcych mocarstw. Mimo to „Związek Strzelecki" rozwiązany nie jest i cieszy się nadal troskliwą opieką władz. Zarzut uprawiania walki klasowej nie może odnosić się do organizacji, która zarówno w swojej ideologji, jak i w programie politycznym oparta jest na negacji postulatu walki klas. Zarzut zaś „swoistej struktury" organizacji nie wytrzymuje krytyki z tej prostej racji, że niema przepisów, zakazujących taką strukturę organizacyjną, oraz że podobną budowę organizacyjną posiadają i organizacje, popierające dzisiejszy rząd. Twierdzenie, że władze O. W. P. pracują „w atmosferze konspiracji", jest najzupełniej dowolne, nie poparte ani jednym dowodem. Jest ono sprzeczne z zasadą jawności działania, sformułowaną na konstytucyjnym zjeździe O. W. P. w Poznaniu w r. 1926.

Wreszcie stwierdzamy, że zarządzenia wojewodów: poznańskiego i pomorskiego, sprzeczne są z obowiązującemi przepisami prawnemi.

Przepisy dawne ustaw pruskich, na które się powołują ci wojewodowie, a dotyczące ogólnych uprawnień policji w kwestji utrzymania porządku, zostały faktycznie usunięte w odniesieniu do stowarzyszeń już na mocy niemieckiej ustawy z r. 1908. Ustawa ta reguluje wyczerpująco wzajemne prawa policji i stowarzyszeń. Jedynem prawem, przyznanem w tej ustawie policji, jest rozwiązanie stowarzyszenia, którego cel sprzeciwia się przepisom karnym. Jasnem jest, że cele O. W. P. nie znajdują się w sprzeczności z kodeksem karnym, zresztą żaden z wojewodów zarzutu tego nie postawił.

Już po rozwiązaniu O. W. P. jesteśmy świadkami odbierania członkom O. W. P. przez władze policyjne godeł, przedstawiających Szczerbiec Chrobrego, względnie nakładania na noszących te godła mandatów karnych.

Przeciwstawianie się władz państwowych zdrowym prądom ideowym, utrudnianie działalności organizacji, która skupia twórcze, pożyteczne dla przyszłości kraju siły, jest szkodliwe i nie powinno mieć miejsca.

Z przytoczonych okoliczności wynika, że zarządzenia wojewodów: pomorskiego, poznańskiego i kieleckiego, jako naruszające porządek prawny i godzące w interes państwa, powinny być cofnięte".

NAUKA I LITERATURA

DIONIZY CZY PSEUDO-DIONIZY AREOPAGITA?

W PIERWSZYCH dziesięcioleciach VI-go wieku po Ch. ukazał się szereg pism, których autor podawał się za Dionizego-Areopagitę, nawróconego przez św. Pawła („Dzieje Ap." 17, 34) i uważanego za pierwszego biskupa Aten. (Euzebjusz z Cezarei: Hist.-Kość. III, 4, 10 i IV, 23, 3), a następnie Paryża, co jednak jest sprawą sporną. Słynny patrjarcha antjocheński Severus (od 512 do 518, potem na wygnaniu w Aleksandrji), głowa odłamu monofizytów, zwanych od niego sewerjanami, pierwszy w swych dziełach wspomina o tych pismach. Na dyspucie religijnej, odbytej w Konstantynopolu w roku 533 (lub 531?), pomiędzy sewerjanami a katolikami, ci ostatni zaprzeczyli ich autentyczności. Pomimo to tak zw. „Areopagityki" stają się w świecie chrześcijańskim coraz bardziej znane i już na początku 7-go wieku nikt nie wątpi w autorstwo św. Dionizego, przez co nabierają niezwykłej powagi i wywierają przeolbrzymi wpływ na końcową patrystykę, jak np. na św. Grzegorza Wielkiego, św. Maksyma Wyznawcę (napisał słynny do nich komentarz), św. Jana z Damaszku, a przetłumaczone na łacinę w IX wieku przez Jana Szkota Eriguenę i na całe średniowiecze. Dość wspomnieć Wiktorjanów, św. Alberta Wielkiego, św. Tomasza z Akwinu, który np. w swych pismach cytuje „Areopagityki" 1702 razy. Dopiero w połowie XV wieku humanista Lorenzo Valla zaprzeczył ich autentyczności; od tej chwili rozpoczyna się spór naukowy, przechodzący różne koleje, kto i kiedy napisał dzieła, przedtem powszechnie przypisywane Areopagicie. W końcu XIX wieku dwum uczonym niemieckim, Hugonowi Kochowi i jezuicie o. Stiglmayrowi udało się, jakby się zdawało ostatecznie, przekonać wszystkich, że pisma tak zw. Pseudo-Dionizego powstały dopiero koło r. 500 jako dzieło nieznanego anonimowego autora, przyczem w swych wywodach opierali się głównie na zależności jego od neoplatończyków, a przedewszystkiem Proklusa († 485).

Nietylko jednak łączność z wielkiem imieniem w Chrześcijaństwie przyczyniła się do ich znaczenia. Kimkolwiek by był autor „Areopagityków", na które składają się traktaty: O Imionach Bożych, O Teologji Mistycznej, O Hierarchji Niebieskiej, O Hierarchji Kościelnej i 10 listów, nie można mu odmówić dużej głębi myśli i wniesienia w naukę chrześcijań-

ską nowych pierwiasków. Dotyczy to przedewszystkiem rozważań o Bogu, niepodpadającym pod żadne pojęcia, absolutnie transcedentnym w stosunku do świata, którego istotę można jednak określić, aczkolwiek niedoskonale, przypisując mu w sposób analogiczny, jako Stwórcy wszelkiej rzeczy, różne doskonałości bytów stworzonych, których ideje (pojęte w duchu platonizmu) w Nim się zawierają. Bóg stworzył świat w czasie, powodowany dobrocią, zmuszającą Go jakby uzewnętrzniać się w przedmiotach stworzonych, których przyrodzoną własnością i zadaniem jest dążenie do połączenia się z Nim na nowo. Byty rozumne osiągnąć to mogą przez upodobnienie się do Niego za pomocą ekstazy mistycznej, do której prowadzi łaska boża przez trzy etapy, zwane później *via purgativa, illuminativa, contemplativa*.

Chociaż w rozważaniach, dotyczących stosunku świata do Boga, liczne zwroty przypominają bardzo panteizm neoplatoński, to jednak autor nie jest bynajmniej w swych intencjach i duchu panteistą. Przez swe zaś rozważania mistyczne stał się jednym z ojców mistyki chrześcijańskiej, nietylko katolickiej, lecz także, źle zrozumiany, panteizującej, zainicjowanej przez Eriuginę, która ukrytym nurtem płynęła przez całe średniowiecze, a i dziś jeszcze da się w niejednym systemie odnaleźć.

Świat według „Areopagityków" jest zbudowany hierarchicznie. Na czele Bóg, potem 9 chórów anielskich, spełniających różne zadania, ludzkość, w której też muszą być zachowane stosunki hierarchiczne, świat zwierzęcy, roślinny i martwy. Na te zależności hierarchiczne autor kładzie wszędzie taki nacisk, że w średniowieczu obdarzono go tytułem: „*Doctor Hierarchicus*". Należy zauważyć przytem, że pierwszy on nauczał o aniołach, jako duchach absolutnie niematerjalnych i podzielonych na chóry (w Piśmie św. są o tem tylko krótkie wzmianki), o różnym stopniu godności i że ta nauka została przyjęta przez teologję katolicką. Moc zaś szczegółów o ówczesnych obrzędach kościelnych, zawartych w traktacie „O Hierarchji Kościelnej" i listach, jest niezwykle cenna dla poznania życia i nauki chrześcijańskiej okresu patrystycznego.

Dopiero teraz, pomimo wielkiego ich znaczenia dla dziejów teologji i filozofji, uzyskaliśmy kompletny przekład polski „Areopagityków" [1]) dzięki p. Emanuelowi Bułhakowi, który przetłumaczył i wydał je swoim nakładem, poprzedziwszy przedmową i bardzo obszernym wstępem. Wstęp ten o 288 stronach jest rękawicą, rzuconą wszystkim tym, którzy są przekonani po badaniach H. Kocha i o. Stiglmayra o tem, że dzieła te nie są napisane przez św. Dionizego Areopagitę. Pan E. Bułhak, operując bardzo dużym materjałem historycznym, próbuje dowieść i uzasadnić, że dzieła te były znane już dawno przed rokiem 500 i przypisywane św. Dionizemu, a to, że mało je znano, nielicznie się powoływano i wzmiankowano, tłumaczy dyscypliną sekretu (*arcani*), tak bardzo przez chrześcijan przestrzeganą w pierwszych wiekach (jeszcze stosował ją św. Augustyn!) i tak polecaną w „Areopagitykach". Zarzut bardzo poważny o zależności ich od neoplatończyków odpiera, usiłując dowieść, że nie one od nich, lecz Plotyn i Proklus za pośrednictwem Szkoły Aleksandryjskiej wzięli dużo myśli, przeinaczywszy przytem, od Dionizego. Nie jest tu miejsce na szczegółową analizę i krytykę wywodów Sz. Autora. Należy pragnąć, aby to uczynili filologowie i patrologowie, nie zlekceważywszy ich z tego powodu, że ktoś przedtem dane zagadnienie, jak się zdaje, ostatecznie rozstrzygnął. Przyznać potrzeba, że autor często nie precyzuje swoich dowodów, nie analizuje szczegółowo i nie przytacza dosłownie tych, które zwalcza. Musimy jednak mu być wdzięczni za to, że dał nam pierwsze polskie tłumaczenie „Areopagityków", tak trudnych z powodu swego osobliwego języka do przekładania, i poprzedził je ciekawym wstępem, z którego, jakby się do niego nie odnieśli fachowcy, można się bardzo dużo nauczyć o znaczeniu i dziejach tych traktatów, które, czy są dziełami, jak uważa tłumacz, św. Dionizego, czy, jak inni, genjalnem fałszerstwem, zawsze pozostaną jednem ze źródeł naszej cywilizacji. Na uwagę zasługuje estetyczne wydanie książki na dobrym papierze, której jedyną wadą z metodologicznego punktu widzenia jest brak bibljografji dzieł, z których we wstępie korzystano, a także nie podanie wydania oryginału, z którego dokonano tłumaczenia.

SIGMA

[1]) Źródła cywilizacji europejskiej. Dzieła św. Dionizjusza Areopagity. Przetłumaczył i przedmową i wstępem zaopatrzył Emanuel Bułhak. Kraków. Nakładem autora. MCMXXXII. Druk Wł. L. Anczyca i Spółki. Stron CCLXXXVIII + 284.

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO

W d. 30 i 31 października odbył się w Poznaniu trzeci naukowy zjazd pomorzoznawczy poświęcony wyłącznie osadnictwu na Pomorzu. Składał się z dwu części: historycznej i prawnej. Referentem pierwszej był prof. Kaz. Tymieniecki, drugiej — prof. Ohanowicz. Zjazd uchwalił szereg wniosków, mających na widoku program dalszych prac naukowych, związanych z morzem i Pomorzem. Do zadań tych jest powołany Instytut Bałtycki w Toruniu. Przewodniczył zjazdowi J. M. prof. Pawłowski, a generalnym sekretarzem zjazdu był, jak corocznie, dyrektor Inst. Bałt., dr. J. Borowik. — Zjazd w ogólnym dorobku przyniósł bogaty plon naukowy.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Dawną z przed wieków kulturę umysłową Wilna i Litwy odtwarza i ukazuje Jerzy Czarnecki w broszurze „Rzut oka na historję książki wileńskiej", (odbitka z Rocznika VI „Przeglądu Bibljotecznego"). Pierwsze znane obecnie bibljografom druki, w języku cerkiewno-słowiańskim pojawiają się w r. 1525, po nich łacińskie, protestanckie, są echem nowinek religijnych pod możną opieką Radziwiłłów, a następnie pierwszy druk polski wyprzedza druki łotewskie i litewskie. Wilno, zasilane pracą autorów z Zachodniej Polski, staje się ogniskiem życia duchowego i promieniuje, zapładnia kulturą mniejsze miasta, Brześć, Nieśwież, Łosk, Zabłudów, później Lubicz, Kiejdany, Oszmianę. Pobyt królów polskich w Wilnie sprawia: że wślad zjeżdżają znakomici uczeni i pisarze, z początku przeważnie teologowie i prawnicy. Mocne podłoże dla rozwoju ruchu literackiego i wydawniczego stawia wielki miłośnik języka polskiego i literatury, król Zygmunt August. Drukarnie wydają traktaty teologiczne, polemiki polityczne, kroniki, Statut Litewski. Powstaje Akademja Wileńska. Prowadzi doniosłą dla rozwoju i utrwalenia katolicyzmu działalność wydawniczą rektor Akademji, ksiądz Piotr Skarga, w związku z działalnością pionierów Reformacji. Wzrasta w następnych wiekach literatura prawnicza, polityczna i historyczna. Autor studjum, Czarnecki zestawia bibljografję druków wileńskich, których wydawnictwa osiągnęły szczyt rozwoju w epoce Uniwersytetu Wileńskiego i rozkwitu nauk matematycznych, przyrodniczych, lekarskich, rolniczych oraz publicystyki. A choć car podpisał dekret zamknięcia Wszechnicy wileńskiej, Wilno długo jeszcze zachowało swą kulturalną żywotność. Poezja, powieść, muzyka, mimo przeszkód ze strony rosyjskiej cenzury, przejawiły się w znakomitych pomnikach sztuki, i trwają w swym rozwoju po czasy dzisiejsze. Osobną część studjum poświęca autor omówieniu historji drukarstwa.

Całość studjum znamionuje wszechstronna erudycja i jasność, lapidarność obrazowania.

Książkę zdobią reprodukcje portretów Lelewela, J. I. Kraszewskiego, Syrokomli i księgarza Zawadzkiego, fotografja sali wystawy, obejmującej drukarstwo Wilna, Litwy i Rusi, i dzieł polskich wydanych w Rosji po rozbiorach, oraz wileńskiego zdobnictwa książki. A w końcu kilkanaście reprodukcyj ozdobnych okładek wybitnych dzieł, wydanych w Wilnie, dających w skrócie retrospektywny na ziemi wileńskiej obraz pochodu literatury polskiej od średniowiecza po epokę romantyzmu. (A. W.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Sprawa konfliktu na Dalekim Wschodzie jeszcze przez długi czas nie będzie schodziła z porządku dziennego na terenie polityki międzynarodowej. Jest tedy wciąż rzeczą aktualną informowanie o stosunkach w krajach wschodu azja-

tyckiego. O Mandżurji i zagadnieniu przyszłości nowego państwa przynosi wiele wiadomości książka *„La Mandchourie historique, politique, économique. Son avenir“* napisana przez J. C. Baleta (Payot, Paris). Autor stoi na punkcie widzenia japońskim, jest sceptykiem co do przyszłości Chin. Przynosi duży zasób wiadomości, dotyczących geografji, historji, stosunków gospodarczych, społecznych i politycznych Mandżurji. Może przeto służyć jako źródło informacyj aktualnych dla śledzących rozwój wypadków na Dalekim Wschodzie. (S).

*

Znany ekonomista niemiecki prof. Werner Sombart wydał broszurę p. t. *„Die Zukunft des Kapitalismus“*, w której wypowiada opinję, że system gospodarstwa światowego przechodzi gruntowne przeobrażenie i przewiduje, że nadchodzi era gospodarki planowej. (S.)

*

Znany socjolog i ekonomista, dr. Othmar Spann, prof. uniwersytetu wiedeńskiego, wydał książkę p. n. *„Geschichtsphilosophie“*. (Verlag Gustav Fischer. Jena. 1932). Autor rozwija swe poglądy na filozofję historji, wychodząc z założeń idealizmu niemieckiego. (K.)

*

Ukazała się książka dr. Samuela Gutermana p. t. *L'organisation du crédit en Pologne. Son évolution depuis la première stabilisation“* (1924 — 1930) (Paris. 1931, p. 613). Książka omawia bardzo obszernie i wyczerpująco sprawę organizacji kredytu w Państwie Polskiem. (J. P.)

FILM

PAN: „Biała Trucizna“ wytw. „Sztuka“ reż. Alfred Niemirski. Różnica między Neapolem, a ostatnim filmem polskiej produkcji jest następująca: o Neapolu powiada się— „ach, ujrzeć raz Neapol i umrzeć“, a o „Białej Truciźnie“ możnaby powiedzieć: lepiej umrzeć, niż raz ją ujrzeć. Tak, tak, nie ulega żadnej wątpliwości, to trucizna, mniejsza już nawet o kolor. Trudno właściwie na serjo zajmować się takim utworem, ale ponieważ w ostatnich czasach nasi filmowcy i ich nierozsądni przyjaciele poczęli skarżyć się po różnych pismach, że część krytyki, zamiast oceniać „fachowo“ płody X-tej muzy, powstałe w kraju, zbywa je dowcipami i t. p. złośliwościami — uraczmy ich krytyką poważną. Niewiadomo, czy na tem lepiej wyjdą.

Cały film to gadanina, przeważnie we wnętrzach. O tem, co się dzieje, lub ma się dziać, dowiadujemy z ust aktorów. Niema więc wcale akcji, widz ani razu nie zadaje sobie pytania: a co dalej? — bo ciągłość fabuły nie istnieje. Idziemy tu od wypadku do wypadku, a raczej od obrazu do obrazu. Jeśli w filmie unieruchomiamy ludzi, to przynajmniej aparat operatora powinien za nich umieć się ruszać. Niestety, w „Białej truciźnie“ aparat jakby w ziemię wrósł. Operator ograniczył się do ustawiania go (we wnętrzach) na kilka metrów przed rozmawiającymi aktorami i utrwalania na taśmie tych mało zajmujących scenek. Nudny i jałowy, pod względem treści fabularnej i wzrokowej, takie same cechy objawia film również w zakresie montażu.

Z aktorów pogodną świeżością wyróżniał się Maszyński, a Jaracza szkoda było na taką szmirę. Djalogi sztuczne i deklamacyjne. Jedynie pod względem udźwiękowienia — technicznie — film stał na poziomie. Głos brzmiał czysto i dość naturalnie. Zdjęcia wyraźne, lecz nieco suche.

APOLLO: „Pieśń Nocy“ reż. Litwak. Głównym magnesem filmu ma być Kiepura. Opera w filmie? Wiadomo, czem to pachnie. Zdając sobie sprawę, skąd grozi niebezpieczeństwo (jesteśmy już po szeregu smutnych, lecz owocnych doświadczeń), reżyser Litwak wywiązał się z zadania nader zręcznie. Wyszedł z założenia — zdawałoby się łatwego do odkrycia — że wystarczy dobrego śpiewaka słyszeć, a oglądać, podczas słuchania, można to i owo, niekoniecznie postać, usta i gardło śpiewającego. Toteż gdy mikrofon utrwala głos tenora i żyje wibracją dźwięku, objektyw aparatu okazuje wzmożoną ruchliwość, wędrując po dalach perspektywicznych — gdy akcja w plenerze — po widowni teatru, po twarzach słuchaczy i t. d. Zestawienia te, nie ograniczając się do splatania bogactwa treści słuchowej ze wzrokową, pogłębiają się przez kontrast nasilenia uczuciowego. I tak np. słyszymy poważną arję operową i jednocześnie widzimy śmieszną scenkę roztargnienia zasłuchanych i rozmarzonych widzów. Prawie przez cały bieg filmu powaga strony dźwiękowej kontrastuje z żywością i humorem strony wzrokowej (np. jeszcze: scena pod balkonem). Gdy ustaje ruch samego aparatu, mamy wówczas śpiew w ruchu, np. podczas jazdy autem. Montaż również żywy i dowcipny. Na początku dobry pomysł, godny zanotowania: Słyszymy śpiew, bez ujawnienia jego źródła. Zaraz potem ukazuje się głowa, o szeroko otwartych ustach i jesteśmy przekonani, że to właśnie śpiewak (tu wyzyskano dobrze podpatrzony rys psychologiczny: człowieka zawsze intryguje źródło każdego dźwięku), za chwilę jednak okazuje się, iż rzekomy śpiewak jest poprostu pacjentem u dentysty, a śpiew pochodzi z głośnika radjowego.

Tempo wartkie. Film w wersji francuskiej. Kiepura ma fatalny akcent.

CASINO: „Odtrącona“ wytw. Fox, reż. Henry King. Rzecz posiada zalety najlepszych filmów niemych, bogatą i tłumaczącą się bez dodatkowych objaśnień treść wzrokową, dużo ruchu i tempo. Tu role są określone ruchowo (przez czynności), aktorzy nie potrzebują rozmawiać, ani grać mimiką. Mowa, którą słyszymy, ma znaczenie raczej uczuciowe, jest zrozumiała przez ton, a nie przez sens, jak np. okrzyk bólu, lub radości. Jest to obraz rodziny: matka ma liczną gromadkę i krząta się cały dzień, jej mąż, wałkoń, należy do chronicznych bezrobotnych. Mamy szmat tego życia. Dzieci podrastają, zakładają własne ogniska rodzinne. A matce radzą iść do przytułku. Matkę, staruszkę steraną, odbiera stamtąd jedyny ukochany syn, prawy chłopak, po powrocie z wyprawy na północ, gdzie pracował.

Historja prosta, zbyt prosta, opowiedziana z wyczuciem wartości ruchu dla kina. Rola matki jest arcydziełem gry aktorskiej, nadzwyczaj szlachetnej w środkach ekspresji. Odtworzyła ją Mae March.

Film odpowiedni dla młodzieży.

COLOSSEUM: „Boczna ulica“ wytw. Universal. Ameryka ma teraz ambicję robienia filmów z sensem i poważniejszą treścią. Widocznie gruchające parki, z nieodzownym *happy-end*'em, niezawsze „robią kasę“. Ponieważ tu w grę wchodzą 3 osoby, możnaby użyć terminu klasycznego — trójkąt. Sprawa się jednak wikła przez to, że właśnie ta „trzecia“ jest charakterem najbardziej wartościowym. W każdym razie publiczność, wychodząc z kina, myśli i stara się rozwiązać sprawę według swego poczucia sprawiedliwości. To już jest dobrze. Oczywiście dla tych, co myślą i poza kinem, problemat nie wydaje się tak zawikłany. Rozwiązuje go poprostu uczciwa, jasna decyzja, czego właśnie nie zrobił zbyt wygodny bohater filmu.

Reżyserja przeciętna. Za dużo djalogów. W roli kobiety na marginesie, nieznana jeszcze u nas, bardzo dobra i ładna aktorka, Irena Dunn.

ATLANTIC: „Szatan Zazdrości“. Pod tym pretensjonalnym tytułem pokazano nam film b. przeciętny, a w nim nową, lansowaną w Ameryce aktorkę, Tallulah Bankhead, która dość wyraźnie imituje Gretę Garbo. Poco jednak stwarzać gorszą kopję, gdy istnieje jeszcze dobry oryginał?

KANDYD

NOWE KSIĄŻKI

Rybarski Roman. Wielickie żupy solne w latach 1494 — 1594. Warszawa 1932. Dom Książki Polskiej. Str. 231.

Oświata Polska (organ Zjedn. Pols. Tow. Ośw.) 1932. Nr. 4.

Dziekoński Albin. Na zachód (Poezje) Warsz. 1932. Nakład M. Trębickiej. Skład główny u Gebethnera i Wolffa.

Suchodolski Bogdan. Ideały kultury a prądy społeczne. W-wa 1933. Nasza Księgarnia. Str. 528.

Mauriac Fran. Kłębowisko żmij. Przełożył i przedmową poprzedził J. E. Skiwski. Warszawa 1932. Gebethner i Wolff.

Pisani Giorgio. Jak kochano przed stu laty. Przekład Zuzanny Rabskiej. Zdobił Stan. Bobiński. Warsz. 1932. „Bluszcz“.

Jerzy Braun. Cień Parakleta. Powieść. Warszawa. 1932. F. Hoesick.

Obertyńska Beata. Klonowe motyle (Poezje). Medyka 1932. Bibl. Medycka.

Obertyńska Beata. Głóg przydrożny. (Poezje). Medyka 1932. Bibl. Medycka.

OFENSYWA

PRUSACY W POLSCE

Wielkopolanie, Pomorzanie i Górnoślązacy nie grają w naszem życiu politycznem nadal żadnej roli.

Nadal uważa się, tak w sferach jak i w sforach miarodajnych — Polaków z dawnego zaboru niemieckiego za gatunek Polaka drugorzędny, *mikrocephalis (Dickschädel, (minderwärthig)*. Przy obsadzie pierwszych skrzypiec państwowej orkiestry w Metropolis nadal nigdy się o żadnem nazwisku stamtąd nie wspomni. W grę wchodzą tylko Wilnianie i Lodomerjanie. Do rządzenia nawet zachodnią Polską deleguje się ludzi ze Wschodu (p. Kirtiklis) albo z Południa (p. Kurzydło). W samej stolicy rej wiodą: Krakowianie i Krakowiacy i Pokrakowiacy i Krakauery. Poznaniakom wolno przyjeżdżać do Warszawy, ale na krótko („kończ sprawę i żegnaj"). Wybitni Polacy, którzy dopomogli nam w odzyskaniu tych dzielnic, w całej dzisiejszej Judosławji traktowani są demonstracyjnie pogardliwie, szyderczo, bagatelizująco. Wśród ministrów, inspektorów armji, szefów trybunałów, w prezydjach Senatu i Sejmu niema ani jednego rodaka z tamtych dzielnic. Są dygnitarze w Warszawce, których noga dotychczas w Poznaniu nie postała (nawet na Pewuce!), tak się zacięli! W Gdyni już byli, lecz tam „morze"; w Poznaniu jeszcze nie. „Źle" się tam czują, bo im „za czysto, za murowano" i niema żydów.

Swego czasu „Czas" krakowski (który Hindenburga do Polski z wizytą zapraszał) tak sobie podkpiwał z niezdarności, z bezsilności, „małoletności" i indolencji państwotwórczej „Poznanioków":

— „Ciężka, nieubłagana, ani na chwilę nieustająca walka z przemocą niemiecką o swą odrębność narodową, a walka skuteczna i ciągle nowemi laurami wieńczona, pochłaniała całkowicie umysły, zdolności i czas; walka ta, która na zawsze chlubą Wielkopolski zostanie, prowadzona ze stałem powodzeniem przeciwko mocarstwu, przed którem drżały wtedy państwa całego świata, wszczepiła w duszę Wielkopolski głębokie przeświadczenie, że ona jedna jest właściwie championem Polski i kamieniem węgielnym, na którem polskość dziś, a państwowość polska jutro opierać się będzie i jedynie może". —

SKONFISKOWANO

A jednak oni też mają swoje zasługi i swój wkład przy *making of state*!

Przypomina się to tu znowu z okazji dwóch książek. Pierwsza:

Friedrich Schinkel: *„Polen, Preussen und Deutschland" Korn-Verlag. Breslau. 1932.*

„Ogromna większość społeczeństwa polskiego w Prusach, mimo deklaracyj lojalności odrzucała tak przedtem jak i potem myśl pojednania polsko-niemieckiego. Sympatje Polaków były, chociaż być może nie po stronie Rosji, to jednak po stronie koalicji"...

...„Niemieckiej lub pruskiej orjentacji nie było. Przedstawiciele myśli pojednawczej w zaborze pruskim pochodzili omal wyłącznie z Galicji".

...„Kierował tą galicyjską akcją pojednania przedstawiciel prasowy Naczelnego Komitetu Narodowego (Piłsudczycy) krakowski historyk Wilhelm Feldman. Feldman odrzucał myśl połączenia zaboru pruskiego z innymi dzielnicami". Jednakże idea „pojednania[1]) po myśli Feldmana spotkała się z namiętnym sprzeciwem nie tylko narodowych demokratów, ale i konserwatystów; społeczeństwo w zaborze pruskim zawsze odrzucało orjentację austrjacką. Również idea polskich legjonów (Piłsudskiego) nie znalazła w zaborze pruskim żadnego poparcia".

[1]) *„Feldman trat für den Verzicht der preussischen Polen auf den Anschluss an die übrigen Theilugsgebiete an"*.

Tak pisze Schinckel, bardzo poważny i przyzwoicie objektywny pisarz niemiecki historyczno-polityczny[2]).

I oto z jakiej to przyczyny Polacy z „zaboru pruskiego" dotyczczas! po 11 latach! w „państwie legjonowem", w Judosławji, w *regio Sanatorum* są nadal ku *magnum gaudium Germanorum* deklasowani, sabotowani i traktowani jako *metoikoi*, „wmieszkani", jako rasa drugorzędna, *inferior, quautité negligeable...*

Drugą książką, na którą tu jeszcze chcemy zwrócić uwagę (w nadziei, że może znajdzie nawet tłumacza na polski) jest:

A. Vierset: *„Mes Souvenirs sur l'occupation allemande en Belgique. Plon. 1932.*

Pamiętnik dyrektora kancelarji słynnego Maxa, burmistrza Brukseli od 31 lipca 1914 aż do dni wyjścia Niemców, dzień w dzień, dzień w dzień, cztery lata z rzędu. Przy okazji tej książki pozwalamy sobie przypomnieć, że dwa lata temu wyszedł w Belgji gruby tom o prasie podziemnej, konspiracyjnej z czasów okupacji pruskiej. Lata całe wychodziły tam codzienne pisma *(Le Quotidien, La Libre Belgique, Le Bruxellois)* odbijane tajnie i kolportowane w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy. „Robili" je za czasów generał-gubernatora Bissinga: 74 letni publicysta p. Jourdain, jego zięć E. van Doren i ojciec Paquet S. J. Nawiasem mówiąc ani w tych pamiętnikach p. A. Vierseta ani w grubej monografji belgijskiej prasy podziemnej o żadnym panu Mühlsteinie nic nie wynaleziono, co sprzeciwia się swego czasu szerzonej w Warszawie nahalnie legendzie, jakoby tenże radca ambasady polskiej w Paryżu był za czasów okupacji pruskiej w Belgji głównym organizatorem i pisarzem prasy podziemnej belgijskiej... „ukrywającym się w podziemiach katedry"... i wyprowadzonym na światło dzienne przez kardynała Merciera!!

Wszystko to blaga.

Zwróciło się na te tomy z czasów wojny i okupacji pruskiej w Belgji i w Polsce uwagę czytelników w tej intencji, aby to podziałało ekscytująco na tych, którzyby mieli coś do powiedzenia o pruskiej polityce i pruskiej okupacji w Polsce. Tyle tomisków i makulatur idzie wciąż w inteligencję polską o „Moskalach", o olbrzymich pogromach „Moskali", o „Papkinach", co w pień wyrzynali całe korpusy rosyjskie...

O cztery lata trwającej okupacji pruskiej, natomiast jakaś dziwna *conspiration de silence* zapanowała. Ani mru-mru. Nie było prusaków w Polsce? Od filmów z „Moskalami" też się już publiczności chce jechać do Rygi. A o filmie z Kaliszem dotychczas ani p. Szarordyński ani inny Krwawicz nie pomyśleli.

A możeby też kto raczył napisać wreszcie pracę o prasie podziemnej antyniemieckiej, cośmy ją tu *tempore belli* nie bez ryzykanctwa wydawali?

ADOLF NOWACZYŃSKI

[2]) Co do stanowiska Feldmana, nie można było mu się dziwić, gdy się zna pansemickie dyrektywy Kautskyego w tej sprawie, obowiązujące całe żydostwo wschodnie:

„Utworzenie samodzielnego państwa polskiego, otoczonego trzema wielkiemi mocarstwami, byłoby dla żydów jednoznaczne z dotkliwszem jeszcze zacieśnieniem granicy osiadłości i zupełną utratą widoków na jej zniesienie. Miałaby do tego nowa Polska przybrać cechy ultramontańskie (katolickie — przyp. aut.) i junkierskie, to w tym wypadku byłaby już dla nich nieznośnem pogorszeniem i tak już rozpaczliwego dla nich położenia. Coby oni natomiast z radością wielką przywitali, to wolną i demokratyczną Polskę, stojącą w ścisłym politycznym i gospodarczym związku z jednem z wielkich mocarstw, gdzie wolności ich żadne ciasne by nie tamowały granice".

NA MARGINESIE

Stary szlachcic z Rypińskiego spotyka w Gdyni swego dawnego pachciarza.

— Co tutaj robisz, panie Pomeranc?

— Ja tu mam dom, ale dlaczego Pomeranc? Ja nie jestem Pomeranc, ja jestem — Maciej Jurand.

— Proszę! Ale czemu wy żydy pchacie się na Pomorze?

— Pytanie! A ja się pytam, panby wolał, żeby tu Hitler się pchał, albo może Obóz Wielkiej Polski?

*

— Ludzie się dziwią, że „sanacja" wybrała sobie żydów, jakby to była nowość. Żydzi są oddawna narodem wybranym.

— Tak, ale już wtedy Rzymianie mówili: *De gustibus non est disputandum.*

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel. 9 87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57 PRZESYŁKA POCZTOWA RYCZAŁTEM OPŁACONA.